



BOLESŁAW PRUS

Powracająca fala


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

BOLESŁAW PRUS

Powracająca fala

I

Gdyby zacność pastora Böhme posiadała trzy zwykłe geometryczne wymiary i ciężar odpowiedni do wielkości, wielebny ten mąż apostołskie i cywilne podróże odbywać by musiał towarowym pociągiem. Ale ponieważ zacność jest przymiotem substancji duchowej i posiada tylko jeden wymiar: *czwarty*, który dużo miejsca zajmuje w głowach matematyków, lecz w świecie rzeczywistym nic nie znaczy, więc pastor Böhme bez trudności mógł podróżować bryczuszką zaprzęzoną w jednego konia.

Spasiony i czysto utrzymany koń po gładkiej szosie fabrycznej biegł wolnym truchtem

i zdawał się być więcej zajęty odpędzaniem much aniżeli cnotami szczupłej osoby duchownego pasterza. Grube chomąto¹, hołoble², letnia spiekota i drożny pył wydatniejsze zajmowały stanowisko w wyobraźni zwierzęcia aniżeli wielbny Böhme, jego dwa małe faworyciki, jego panamski kapelusz³, jego perkalowy kitel w białe i różowe paski, a nawet lakierowany bicz zatknięty z prawej strony siedzenia. Pastor tylko przez obawę śmieszności nie zostawiał bata w domu, ale go też w drodze nie używał. Co prawda, nie miał go czym używać. Jedną bowiem ręką trzymał lejce, ażeby mu się koń nie potknął, a drugą zlewał życzliwe i mało skuteczne błogosławieństwa na wszystkich przejezdnych i przechodniów, którzy bez względu na wyznanie uchylali przed „poczciwym Szwabem” głowy i czapki.

¹*chomąto* — część uprzęży końskiej, obejmująca kark zwierzęcia. [przypis edytorski]

²*hołoble* — dwa dyszle połączone z chomątem. [przypis edytorski]

³*panamski kapelusz* — kapelusz z liści palmowych popularnie zwany panamą; nazwa przyjęła się w czasie budowy Kanału Panamskiego (1904-1914). [przypis edytorski]

Obecnie (jest to dzień czerwcowy, godzina piąta po południu) wielebny miał do spełnienia mniejszą misję religijną, polegającą na tym, ażeby najprzód⁴ — zmartwić bliźniego, a następnie — pocieszyć go, gdy już będzie strapiiony. Jechał do swego przyjaciela Gotlieba Adlera, żeby mu donieść, że jego jedyny syn, Ferdynand Adler, narobił długów za granicą. Doniósłszy zaś o tym ojcu, miał go później uspakajać i — wyjednać przebaczenie dla lekkomyślnego młodzieńca.

Gotlieb Adler był właścicielem fabryki bawełnianych tkanin. Szosa, nie wysadzona wprawdzie drzewami, ale starannie utrzymana, łączy fabrykę ze stacją kolei żelaznej. To, co z szosy widać na lewo, za gajem drzew, to nie jest jeszcze fabryka, ale miasteczko. Fabryka leży na prawo od szosy. Spomiędzy klonów, lip i topoli wyglądają czarne i czerwone dachy kilkudziesięciu robotniczych domków, a za nimi — gmach czteropiętrowy, zbudowany w podkowę i otoczony innymi gmachami. To właśnie

⁴najprzód (przestarz.) — dziś: najpierw. [przypis edytorski]

fabryka. W długich szeregach okien przeziera się słońce i oblewa je plamami złota. Wysoki, ciemnowiśniowy komin wyziewa czarne kłęby gęstego dymu.

Gdyby wiatr powiał z tamtej strony, pastor usłyszałby huk machin parowych i chaotyczny szmer tkackich warsztatów. Ale wiatr wieje z innej strony i dlatego słychać tylko świst odległej lokomotywy, turkot bryczki Böhmeego, parskanie jego konia i śpiew ptaszka — może przepiórki nurzającej się w zielonym zbożu.

Tuż przy fabryce widać większe niż gdzie indziej skupienie drzew. Jest to ogród Adlera, z którego gdzieniegdzie przeglądają białymi płatami — ściany wykwintnego pałacyku i budynków gospodarskich.

Ciągłe zwracanie uwagi na tłustego konia, ażeby się nie potknął, znużyło wreszcie pastora. Ufając miłosierdziu Tego, który wydobył

Daniela⁵ z lwiej jamy, a Jonasza⁶ z wielorybiej paszczy, wielebny przywiązał lejce do poręczy kozła i złożył ręce jak do modlitwy. Böhme lubił marzyć, ale marzył tylko wówczas, gdy mógł puścić w młynka dwa wielkie palce u rąk, co zrobił obecnie. Taki młynek otwierał mu czarodziejskie wrota krainy wspomnień.

I otóż przypomniało mu się (zapewne czterdziesty raz w tym roku i w tym punkcie szosy), że fabryka Adlera i jej otoczenie bardzo przypominają inną fabrykę, gdzieś aż na brandenburskiej równinie stojącą, w której on, pastor Marcin Böhme, i jego przyjaciel, Gotlieb Adler, spędzili razem wiek dziecinny. Byli oni synami średniozamożnych majstrów tkackich, urodzili się w jednym roku i chodzili do tej samej elementarnej szkoły. Potem rozeszli się na całe ćwierć wieku, w ciągu którego Böh-

⁵*Daniel* — starotestamentowy prorok; uprowadzony do Babilonu, nie dał się nakłonić do porzucenia swej wiary i został za karę wtrącony do jaskini lwa, skąd cudem wybawił go Bóg. [przypis edytorski]

⁶*Jonasz* — starotestamentowy prorok; kiedy pragnął uniknąć nakazanej mu przez Boga misji w Niniwie, okręt, na którym płynął, uległ katastrofie, a sam Jonasz został połknięty przez ogromną rybę (wieloryba). Ocalony podporządkował się woli Jahwe. [przypis edytorski]

me skończył wydział teologiczny w Tybindze, a Adler zebrał kilkadziesiąt tysięcy talarów.

Potem znowu zeszli się z daleka od ojczyzny, na ziemi polskiej, gdzie Böhme został pasterczem protestanckiej parafii, Adler zaś założył małą fabrykę tkacką.

Od tej pory przez drugie ćwierć wieku nie rozłączyli się i odwiedzali wzajemnie po kilka razy na tydzień. Przez ten czas mała fabryka Adlera stała się ogromna; obecnie zajmowała sześciuset robotników, a właścicielowi przynosiła po kilkadziesiąt tysięcy rubli czystego zysku na rok. Ale Böhme został tym, czym był: niebogatym pastorem. Tylko ponieważ skarby duszy ludzkiej zawsze procentować muszą, więc i pastor miał dochody wynoszące rocznie kilkadziesiąt tysięcy — błogosławieństw.

Były jeszcze między dwoma przyjaciółmi i inne różnice.

Pastor miał syna, który kończył obecnie technikę ryską⁷ i marzył o zapewnieniu sobie, obojgu rodzicom i siostrze — chleba na dalszy bieg

⁷*technika ryska* — chodzi o studia politechnikę w Rydze. [przypis edytorski]

życia; Adler zaś miał syna jedynaka, który nie ukończył gimnazjum, podróżował za granicą i marzył o jak najobfitszym korzystaniu z ojcowskiej kasy. Pastor frasował się tym: czy jego osiemnastoletnia Anneta dobrze wyjdzie za mąż? Adler frasował się tym: co ostatecznie będzie z jego syna? Pastor był w ogóle zadowolony ze swej majątkowej mierności i kilkudziesięciu tysięcy błogosławieństw rocznie; Adlerowi nie wystarczało kilkadziesiąt tysięcy rubli na rok a fundusz złożony w banku zbyt powolnie zbliżał się do upragnionej liczby *miliona* rubli.

Ale Böhme już o tylu szczegółach nie myślał. On był kontent⁸, że widzi dokoła siebie zielone zboże, nad sobą niebiosa obrzucone białymi i siwymi obłokami i że ogólny wygląd fabryki Adlera przypomina mu miejscowość z dziecińczych lat. Takie same piętrowe domy ustawione w dwa szeregi, takie drzewa, taki zakład fabryczny zbudowany w podkowie, pałacyk właściciela, sadzawka w ogrodzie...

⁸*kontent* (z fr.) — zadowolony. [przypis edytorski]

Szkoda, że nie ma tu ochrony dla małych dzieci, szkoły dla większych, domu dla starców, szpitala... Szkoda, że Adler nie pomyślał o tych budynkach, chociaż swoją fabrykę ukształtował na wzór brandenburskiej. A należałoby przynajmniej zbudować szkołę. Boć gdyby nie istniała szkoła *tam...* ani on nie byłby pastorem, ani Adler milionerem!

Wózek zbliżył się do fabryki tak, że hałas jej obudził zadumanego pastora. Gromada dzieci brudnych i w podarte sukienki albo koszule odzianych bawiła się obok gościńca. Za murem otaczającym fabrykę widać było kilka wozów, na których ustawiano paki tkanin. Na lewo w całym wdzięku ukazał się pałacyk Adlera zbudowany w stylu włoskim. Jeszcze kilkanaście kroków i otóż wychyla się spomiędzy drzew stojąca nad sadzawką altana, kędy fabrykant i jego przyjaciel piją zwykle reńskie wino gawędząc o dawnych czasach albo o wiadomościach bieżących.

Gdzeniegdzie z otwartych okien mieszkań robotniczych zwieszają się szmaty świeżo upra-

nej bielizny. Prawie cała ludność tych mieszkań jest obecnie przy warsztatach i ledwie kilka bladych kobiet z zapadłymi piersiami wita pastora słowy:

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków!... — odpowiada szczupły staruszek, uchylając swój wieloletni panamski kapelusz.

W tej chwili bryczka skręciła na lewo, koń wesoło wyrzucił łbem i już klusem, niekierowany wbiegł na dziedziniec pałacyku. Wnet ukazał się stajenny chłopiec, obtarł nos rękawem i pomógł wysiąść wielebnemu.

— Pan w domu? — spytał Böhme.

— Na fabryce⁹. Zaraz powiem, że jegomość przyjechał.

Pastor wszedł na ganek, gdzie oczekujący lokaj zdjął z niego podróżny kitel. Teraz cały świat mógł przekonać się, że duchowny ma długi surdut, ale krótkie nogi, wobec których jego nos, ozdabiający zwiędłe i pełne dobroci oblicze, wydaje się nieco za duży.

⁹*Na fabryce* — właśc.: na terenie fabryki. [przypis edytorski]

Wielebny znowu ułożył ręce na piersiowym dołku i puścił w ruch dwa palce. Przypomniawsobie, że przyjechał tu celem zranienia, a następnie zagojenia ojcowskiego serca i z planem dobrze obmyślanym, który wedle prawideł retoryki¹⁰ dzielił się na trzy części. Pierwsza, przygotowawcza, miała obejmować rzut oka na niezbadane wyroki Opatrzności, która przez ciernie żywota wiedzie istotę ludzką do wiekuistego szczęścia. W drugiej miało być powiedziane, że młody Ferdynand Adler nie może wrócić z zagranicy na łono ojca, dopóki nie zostaną zaspokojeni jego wierzycciele na sumę taką a taką. (Tu powinien nastąpić wybuch ojcowskiego gniewu i wyliczenie przez starego Adlera wszystkich błędów, jakich się syn dopuścił.) W chwili przecież, gdy zagniewany fabrykant bawełnianych tkanin zapragnąłby wyrodnego jedynaka wyprzeć się, wydziedziczyć i wykląć, wyszłaby na jaw trzecia część misji pastora, pojednawcza. Böhme chciał przypomnieć historię marnotrawnego syna, z lekka nadmienić,

¹⁰*retoryka* — sztuka przemawiania i przekonywania. [przypis edytorski]

że przyjaciel źle wychował potomka i że za ten grzech powinien bez szemrania ofiarować Bogu, rozumie się na ręce wierzycieli Ferdynanda, wymaganą przez nich sumę.

Gdy Böhme przepowiadał sobie plan działania, na drodze do pałacyku wiodącej ukazał się stary Adler. Był to człowiek olbrzymiego wzrostu, nieco zgięty, niezgrabny, z wielkimi nogami, odziany w długi, popielaty surdut niemodnego kroju i także spodnie. Na jednostajnie czerwonej twarzy jego uwydatniał się duży, okrągły nos i nie mniejsze wargi wywinięte jak u Murzyna. Wąsów nie nosił, tylko rzadkie jasnoblond faworyty. Gdy zdjął kapelusz, aby obetrzeć pot z czoła, widać było wypukłe, jasnoniebieskie oczy bez brwi i krótko ostrzyżone włosy koloru lnianego.

Milioner szedł krokiem ciężkim, miarowym, chwiejąc się na potężnych nogach jak kawalerzysta. Gdy nie obcierał spoconej twarzy albo czerwonej szyi, zwieszona ręce z wielkimi dłońmi i krótkimi palcami odstawały mu od tułowia tworząc dwa zgięte łuki niby żebra przed-

potopowego zwierzęcia. Szeroka pierś widocznie wznosiła się i opadała dysząc jak kowalski miech. Z daleka witał pastora flegmatycznymi ruchami głowy; otworzył przy tym szeroko usta i grubym głosem wołał: „Ha, ha, ha!” — ale nie uśmiechnął się. W ogóle trudno nawet zgadnąć, jak by wyglądał uśmiech na tej mięsistej i apatycznej twarzy, na której wszechwładnie zdawały się panować surowość i bezmyślność.

Z tym wszystkim ta grubo przez naturę wyciosana osoba nie była wstrętna, ale raczej dziwna. Nie budził on obawy, tylko uczucie, że mu się niepodobna oprzeć. Zdawało się, że w jego nieforemnych rękach żelazne sztaby powinny by giąć się z takim smutnym skrzypieniem, jak podłoga sal fabrycznych gięła się pod jego stopami. Na pierwszy rzut oka widać było, że do serca tego taranu o ludzkiej formie dopukać się niepodobna, ale że gdyby kto zranił mu serce, cała machina runęłaby jak gmach, któremu nagle zabrakło podstawy.

— No! jak się ty masz, Marcinie! — zawołał Adler z najniższego stopnia schodów, chwytając za rękę pastora, którą potrząsnął mocno i niezgrabnie. — Prawda! — dodał — ty ale byłeś¹¹ wczoraj w Warszawie... Czy nie słyszałeś czego o moim chłopcu? Ten wariat tak rzadko pisuje, że chyba tylko bank wie, gdzie on się obraca!...

Gdy stanął na ganku, wąty Böhme wyglądał przy nim jak — wedle słów Biblii — szarańcza przy wielbłądzie.

— No, ale gadaj co!... — powtórzył Adler siadając na żelaznej kanapce, która zatrzeszczała. Tubalny głos jego dziwnie harmonizował z rytmicznym łoskotem fabryki przypominającym odległe grzmoty.

— Czy mój Ferdynand nie pisał do banku? Böhme mimowolnie znalazł się w środku kwestii, z którą tu przyjechał. Siadł na drugiej kanapce naprzeciw Adlera. Z zastanawiającą przytomnością umysłu przypomniał sobie

¹¹ty ale byłeś — niemiecki szyk wyrazów, po polsku niepoprawny. [przypis edytorski]

początek pierwszej części mowy: o niezbadanych wyrokach...

Pastor miał jedną wadę. Oto — nie umiał płynnie mówić bez okularów, które zawsze w niewłaściwe miejsce chował. Czuł, że wypada zacząć wstęp, ale jakże zacząć bez okularów?... Odchrząknął, powstał z kanapy, zakręcił się wkoło... Nie ma okularów!

Sięgnął ręką do lewej kieszeni spodni, potem do prawej... Okularów ani śladu!... Czy by je zostawił w domu?... Gdzież znowu! Miał je przecie w rękach siadając na bryczkę... Sięgnął do jednej tylnej kieszeni surduta: nie ma... do drugiej — znowu nie ma! Biedny pastor całkiem zapomniał początkowych zdań części przygotowawczej.

Adler, który znał przyjaciela na wrywki, zaniepokoił się.

— Czego ty się tak, Marcinie, ale kręcisz?...
— spytał go.

— Ech, mam kłopot... Gdzieś zostawiłem okulary...

— Na co tobie okulary? Kazania przecież nie będziesz do mnie mówił.

— Ale, bo widzisz...

— No, ja ale pytam się o Ferdynanda, czy nie ma od niego wiadomości?...

— Zaraz ci powiem!... — mówił Böhme krzywiąc się.

Sięgnął do bocznej kieszeni i nie znalazł okularów. Odpiął surdut i z kieszeni wewnętrznej dobył jakiś papier, wielki pugilares¹², wreszcie wywrócił kieszeń, ale i tu okularów nie było.

„Czybym zostawił w bryczce?” — rzekł do siebie i zwrócił się chcąc zejść z ganku.

Adler, który wiedział, że pastor w wewnętrznej kieszeni nosi tylko ważne dokumenty, wyrwał mu papier z ręki.

— Mój ty Gotliebie — mówił skłopotany Böhme — oddajże mi to, ja ci sam przeczytam, tylko... muszę pierwszej znaleźć moje okulary... Gdzie one się podziać mogły?

¹²*pugilares* (daw.) — portfel na pieniądze i dokumenty. [przypis edytorski]

Zbiegł na dziedziniec, kierując się ku stajni.

— Proszę cię, zaczekaj, aż ja wrócę, bo to trzeba przede wszystkim wyjaśnić...

I poszedł trąc obiema rękami szpakowatą głowę.

W kilka minut później wrócił ze stajni zupełnie zgnębiony.

— Musiałem zgubić okulary — mruczał. — Pamiętam, że kiedyś siadłem na bryczkę, miałem w jednej ręce chustkę, a w drugiej bat i okulary...

Rzucił się z niechęcią na kanapę i przelotnie spojrzął na Adlera.

Staremu fabrykantowi żyły nabrzmiały na czole, a oczy stały się wypuklejsze niż zwykle. Czytał on papier z wielkim zajęciem, wreszcie skończył czytanie i z gniewu — plunął na ganek.

— Och! Jaki to szelma ten Ferdynand! — mruknął. — W ciągu dwu lat zrobił pięćdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli dłu-

gów, chociaż ja dawałem mu dziesięć tysięcy rubli rocznie!

— A wiem! — zawołał nagle pastor i wbiegł do przedpokoju.

Po chwili wrócił z triumfującą miną, niosąc swoje okulary w czarnej pochwie.

— Naturalnie — mówił Böhme — że nie mogłem ich włożyć gdzie indziej, tylko w kitel. Co za roztargnienie!

— Ty zawsze gubisz swoje okulary i potem je znajdujesz! — rzekł Adler oparłszy głowę na rękę.

Wydawał się zamyślony i smutny.

— Pięćdziesiąt osiem i dwadzieścia: siedemdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli w ciągu dwu lat! — mruczał fabrykant. — Kiedy to ja wszystko załatam? Dalibóg, nie wiem!

Pastor włożył już okulary i odzyskał właściwą sobie przytomność umysłu. Część pierwsza, przygotowawcza, mowy, z którą do Adlera przyjechał, była stracona. Część druga tak samo. Pozostała część trzecia.

Böhme orientował się w położeniu bardzo szybko i nie mniej szybko czynił postanowienia. Odchrząknął więc, rozkraczył nogi i zaczął:

— Jakkolwiek, miły Gotliebie, ojcowskie serce twoje błędami jedynego syna twojego ciężko musi być zranione; jakkolwiek na los poniekąd sprawiedliwie wyrzekać...

Adler ocknął się z zamyślenia i odparł spokojnie:

— Gorzej niż wyrzekać, bo trzeba ale płacić!... Johann! — krzyknął nagle głosem, od którego daszek ganku drgnął.

Służący ukazał się we drzwiach prowadzących do przedpokoju.

— Szklankę wody!

W okamgnieniu podano wodę; Adler wypił ją, zażądał drugiej szklanki i tę wypił, a potem mówił już bez cienia gniewu:

— Trzeba telegrafować do Rotszyldów¹³... Jeszcze dziś wyślę depeszę i... niech już ten wariat wraca. Dostyc podróży!

¹³*Rotszyldowie* — rodzina bankierów i finansistów, jedna z najbogatszych w XIXw. [przypis redakcyjny]

Teraz Böhme poznał, że nie tylko trzecia część jego mowy jest bezpowrotnie stracona, ale co gorsza, że ojciec zanadto pobłażliwie traktuje postępek syna. Bądź co bądź, zrobienie pięćdziesięciu ośmiu tysięcy rubli długów stanowi nie tylko stratę, ale i nadużycie rodzicielskiego zaufania, a więc niemały grzech. Kto wie, czy Adler, mając te pieniądze w kieszeni, nie pomyślałby o założeniu szkoły, bez której dzieci fabrycznych robotników dziczeją i uczą się próżniactwa.

Z tych powodów pastor postanowił z obrońcy stać się — oskarżycielem lekkomyślnego młokosa, co mu tym łatwiej mogło się udać, że znał go jako urwisa od niemowlęcia — i że miał okulary na nosie, bez których ciężko mu było czegokolwiek dowodzić.

Adler tymczasem oparł się szerokimi plecami o poręcz ławki, splótł ręce na karku i pochyliwszy w tył ogromną głowę patrzył w sufit daszku.

Böhme odchrząknął, położył dłonie na kolanach i patrząc na krawat swego przyjaciela mówił:

— Jakkolwiek, miły Gotliebie, budujące jest twoje chrześcijańskie poddanie się nieszczęściu, z tym wszystkim człowiek dla osiągnięcia zupełnej doskonałości na tym świecie możliwej (a jest ona, ach! bardzo niedoskonała wobec Stwórcy), człowiek tedy nie tylko musi być zrezygnowany, ale i działający. Pan nasz, Jezus Chrystus, nie tylko poświęcił się na śmierć, ale jeszcze nauczał, poprawiał. Więc i my, sługi jego, winniśmy nie tylko znosić cierpienia, ale jeszcze poprawiać błędzących...

Adler oparł ręce na kanapie i spuścił głowę na piersi.

— Syn twój cielesny, a mój duchowy, Ferdynand, pomimo wielu zalet serca i przyrodzonych zdolności, wcale nie pełni przykazania, które człowiekowi z raju wygnanemu zaleciło pracę.

— Johann! — krzyknął Adler. Służący wbiegł na ganek.

— Tam maszyna idzie za prędko! Oni tak zawsze robią, jak mnie nie widzą. Kazać, żeby wolniej szła!

Służący znikł; pastor niezrażony mówił dalej:

— Syn twój nie pracuje, ale dane mu przez Stwórcę siły duchowe, fizyczne i pieniężne trwoni marnie. Mówiłem ci to już, miły Gotlieb, nieraz, a wychowaniem mego Józefa nie zaprzeczyłem własnym zasadom.

Adler posępnie rzucił głową.

— Co twój Józef będzie robił, gdy skończy technikę? — spytał nagle.

— Pójdzie do jakiej fabryki i może kiedy zostanie dyrektorem.

— A gdy zostanie dyrektorem, to co?

— Będzie dalej pracował.

— Na co ale on będzie pracował?

Pastor zmieszał się.

— Na to — odparł — żeby być użytecznym sobie i ludziom.

— No, a mój Ferdynand, jak tylko wróci, może u mnie zostać dyrektorem. No, on już

dziś ludziom jest użyteczny, jeżeli siedemdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli wydaje w ciągu dwu lat. A zapewne i sobie jest użyteczny!

— Ale nie pracuje! — zauważył pastor wzno-
sząc palec do góry.

— Prawda! Ale ja pracuję za niego i za siebie. Ja przez całe życie pracowałem za pięciu ludzi, więc dlaczego mój jedyny syn nie ma użyć trochę świata za młodu? — Czego teraz nie użyje — dodał — później nie użyje... Wiem to z doświadczenia! — Praca jest przekleństwem. Ja całe to przekleństwo wziąłem na siebie, a że dobrze wziąłem, świadczy mój majątek. Jeżeli prawda, że Ferdynand powinien by tak męczyć się jak ja, to na co mi Pan Bóg dał pieniądze? Co chłopcu po tym, że z mego miliona zrobi dziesięć, jeżeli znowu jego syn ma żyć na to tylko, żeby do naszych dorobił — drugie dziesięć milionów? — Pan Bóg stworzył tak samo bogatych jak i ubogich. Wszyscy bogaci używają życia. Ja go już chyba nie użyję, bo nie mam sił

i nie nauczyłem się tego. Ale dlaczego mój syn nie ma używać?

Służący wrócił już z fabryki. Maszyna parowa szła wolniej.

— Miły Gotliebie — rzekł pastor — dobry chrześcijanin...

— Johann! — przerwał mu fabrykant. — Wynieś do altanki butelkę reńskiego i pier-
nik... Chodźmy do ogrodu, Marcinie!

Poklepał Böhmego ciężką ręką po ramieniu i zawołał:

— Ha, ha, ha!

Szli do ogrodu. W drodze zastąpiła im jakaś nędzna kobiecina i upadając do nóg Adlerowi szepnęła z płaczem:

— Jaśnie panie! Choć trzy ruble na pogrzeb.

Adler bez trudności wyrwał jej nogę z objęć i odparł spokojnie:

— Idź do szynkarza, bo tam twój głupi mąż co dzień zostawiał pieniądze.

— Jaśnie panie!

— W kantorze załatwia się interesy, nie tutaj — przerwał Adler — tam pójdź.

— Byłam, panie, ale mnie za drzwi wyrzucili.

I znowu objęła go za nogi.

— Precz! — krzyknął fabrykant. — Do warsztatów was nie ma, a na chrzty i pogrzeby umiecie zebrać!

— Po słabości byłam, panie; jakże mogłam iść na robotę?

— No, to niech ci się ale dzieci nie zachciewa, kiedy im nie masz za co sprawić pogrzebu.

I poszedł do ogrodu pchając przed sobą oburzonego tą sceną pastora.

Za furtką Böhme zatrzymał się.

— Wiesz, Gotliebie — rzekł — ja nie będę pił.

— O? — zdziwił się Adler. — Dlaczego tak?

— Łzy biednych psują smak wina.

— Nie bój się! Kieliszki są czyste, a butelki dobrze zakorkowane. Ha, ha, ha!

Pastor zaczerwienił się, odwrócił się od niego z gniewem i szybko wybiegł na dziedziniec.

— Stój, ty wariacie! — krzyknął Adler.

Pastor biegł ku stajni.

— Wróćże się!... Hej, ty głupia! — zawołał na nędzną kobietę, która płakała w bramie — masz rubla i wynoś się stąd, pókiś cała!

Rzucił jej papierek.

— Marcin! Böhme! Wróć się. Już wino jest w altance.

Ale pastor siadł na swój wózek i bez kitla wyjechał za bramę.

„Wariat!” — mówił do siebie Adler.

Zresztą nie gniewał się na pastora, który po kilkanaście razy na rok robił mu podobne sceny w podobnych okolicznościach.

„Tym uczonym zawsze jakiegoś trybu w głowie brakuje — myślał Adler patrząc na pył wzniecony bryczką przyjaciela. — Gdybym ja był uczonym, miałbym dziś tyle co Böhme, a Ferdynand męczyłby się w szkole technicznej. Jakie szczęście, że i on nie jest uczony!”

Obrócił się dokoła, spojrzął na stajnię, przed którą parobek udawał, że pilnie bruk zamiata, wciągnął w nos trochę fabrycznego dymu, który mu wiatr przyniósł, popatrzył na ładowne wozy i poszedł do budynku administracji.

Tam kazał odpisać w księdze pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli dla Ferdynanda i wysłać do niego telegram, ażeby skoro tylko odbierze pieniądze, spłacił dług i natychmiast wracał do domu.

Gdy Adler wyszedł z kancelarii, stary buchalter, Niemiec, który od kilku lat nosił umbrelkę¹⁴, a od kilkunastu siadywał na skórzanym krążku, obejrzał się podejrzliwie i szepnął do innego urzędnika:

— Oho! Będziemy znowu mieli *oszczędności*! Młody stracił pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli, a my zapłacimy...

W kwadrans później w biurze technicznym szeptano, że Adler *obetnie* pensje, bo syn jego stracił sto tysięcy.

¹⁴*umbrelka* — daszek chroniący przed światłem. [przypis edytorski]

W godzinę we wszystkich oddziałach fabryki o tym tylko mówiono, że mają zniżyć pensje i zarobki, a wieczorem — Adler wiedział, co mówiono. Jeden groził, że połamie kości pryncypałowi, drugi, że go zabije, trzeci, że spali fabrykę. Niektórzy radzili wyjść tłumem z warsztatów, ale tych zakrzyczano. Bo i dokąd wyjść?

Większość kobiet płakała, a większość mężczyzn przeklinała Adlera życząc mu, żeby go Bóg skarał.

Fabrykant był zadowolony z raportu. Ponieważ robotnicy tylko przeklinali, więc znać, że można bez obawy zniżyć zarobki. Ci zaś, którzy grozili, ci w części byli najwierniejszymi jego sługami.

W ciągu nocy plan *oszczędności* był przygotowany. Im kto więcej zarabiał, tym większy procent strącano mu z wynagrodzenia. Ponieważ zaś przy fabryce od paru lat mieszkał doktor (sprowadzony tu w czasie cholery) i felczer¹⁵, którzy, według Adlera, nie mieli dziś

¹⁵felczer — pomocnik lekarza. [przypis edytorski]

nic do roboty, doktor więc z końcem miesiąca czerwca otrzymał dymisję, a felczerowi znizowano pensję do połowy.

Gdy na drugi dzień dowiedziano się o szczegółach planu *oszczędności*, wybuchło ogólnie wzburzenie. Kilkunastu ludzi wyszło z fabryki, inni robili mniej niż zwykle, ale za to dużo gadali. Doktor zwymyślał Adlera i natychmiast przeniósł się do miasteczka; toż samo zrobił felczer. W południe i nad wieczorem tłum robotników chodził do pałacyku pryncypała z prośbą, ażeby ich nie krzywdził. Płakali przy tym, klęli, grozili, ale Adler pozostał niewzruszony. Strażniejszy pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli przez syna, musiał je odzyskać; oszczędności zaś miały mu przynieść piętnaście do dwudziestu tysięcy rocznie. Postanowienie żadną miarą nie mogło być cofnięte. Zresztą, dlaczego miałyby być cofnięte — co mu groziło?

Rzeczywiście po kilku dniach fabryka uspokoiła się. Niektórzy robotnicy wyszli sami, kilku niespokojniejszych wydalono, a miejsce ich zajęli nowi kandydaci, którym zarobek wydał

się bardzo dobry. W owej epoce panowała na wsiach bieda i ludzie natrętnie dopraszali się o robotę.

Miejsce felczera zajął „tymczasowo” stary robotnik, który według opinii Adlera był o tyle obeznany z chirurgią, że jakieś lekkie skaleczenie mógł opatrzyć. W wypadkach cięższych, nader rzadkich, miano posyłać do miasteczka, gdzie również udawać się musieli na własny koszt chorzy robotnicy, ich żony i dzieci.

Było więc w fabryce, pomimo tak wielkiego przewrotu, wszystko dobrze. Najdokładniej zebrane informacje wskazywały Adlerowi, że bez względu na krzywdy, jakie ludziom wyrządził, nie spotka go nic złego, że nie ma siły, która by mu mogła zaszkodzić.

Tylko pastor Böhme, do którego fabrykant pojechał pierwszy na zgodę, kręcił głową i poprawiając okulary mówił:

— Złe wyradza złe, mój miły Gotliebie. Tyś zaniedbał wychowania Ferdynanda, więc zrobiłeś źle. On stracił twoje pieniądze i zrobił

gorzej. Teraz znowu ty z jego powodu zniży-
łeś ludziom zarobki i zrobiłeś najgorzej. A co
z tego jeszcze wyniknie?

— Nic! — mruknął Adler.

— Nie może być nic! — odparł Böhme
trzęsąc rękami nad głową. — Najwyższy tak
świat urządził, że w nim każda przyczyna musi
mieć właściwy skutek: dobra — dobry, zła —
zły!

— Przynajmniej nie dla mnie — wtrącił
fabrykant. — Bo i cóż mi się stanie? Kapi-
tały leżą w depozycie. Fabryki mi nie spalą,
a choćby i spalili, to jest asekurowana. Roboty
nie porzucą, bo na ich miejsce znajdę innych,
a zresztą — gdzież sami pójdą? Chyba myślisz,
że mnie zabiją? Marcinie, czy tak myślisz? Ha,
ha, ha! Mnie oni! — mówił olbrzym klaszcząc
w potężne dłonie.

— Nie kuś Boga! — przerwał mu surowo
pastor i zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

II

Historia Adlera jest tak dziwna jak on sam.

Gdy ukończył szkołę elementarną (do której chodził razem z dzisiejszym pastorem Böhme), Adler nauczył się tkactwa i w dwudziestym roku miał niezłe zarobki. Już wówczas był to chłopak czerwonoskóry, silny, na pozór niezgrabny, w istocie sprytny i zręczny, który pracować mógł za kilku. Zwierzchnicy byli z niego zadowoleni, choć miał wadę, że lubił hulać.

Każde święto młody Adler przepędzać musiał w jakimś miejscu zabaw, w towarzystwie kolegów i kobiet, bo miał wiele kochanek. Jeźdźono tam na karuzeli, huściano się, pływano, objadano się i spijano, Adler zaś przodował. Hulał tak namiętnie, bawił się z takim szaleństwem, że niekiedy przestraszał swoich towarzyszy. Ale w dzień powszedni pracował także szalenie.

Był to potężny organizm, w którym grały tylko mięśnie i nerwy, a dusza spała. Adler czytać nie lubił, sztuki nie rozumiał, śpiewać nawet nie umiał. Potrzebował tylko zużywać nagromadzone siły zwierzęce i robił to, nie zachowując żadnych granic ani miary.

Z uczuć ludzkich panowało w nim jedno tylko: zazdrościł bogatym. Słyszał on, że na świecie są wielkie miasta, a w nich piękne kobiety, które można kochać pijąc szampańskie wino wśród salonów błyszczących od złota i kryształów. Słyszał, że bogaci podróżują po górach, na których kark można skręcić albo paść ze znużenia, i — tęsknił do tych gór. Gdyby on był bogaty, zamęczałby wierzchowe konie; kupiłby okręt, ażeby pełnić na nim obowiązki majtka; obszedłby cały świat od równika do biegunów; pędziłby na pola bitew i nurzałby się w krwi ludzkiej, a przy tym wszystkim — piłby i jadł najwykwintniejsze potrawy i woziłby ze sobą cały harem.

Ale gdzie jemu myśleć o bogactwach, kiedy puszczał wszystkie zarobki i jeszcze zaciągał długi!

W owym czasie zdarzył się szczególny wypadek.

W jednym z budynków fabryki, w której pracował, wybuchł pożar na drugim piętrze. Robotnicy uciekli, ale nie wszyscy: dwie ko-

biety i chłopiec zostali na czwartym piętrze i dopiero wówczas zobaczono ich, gdy ze wszystkich niższych okien buchały płomienie.

O daniu pomocy nikt nie myślał i może dlatego właściciel fabryki krzyknął do robotników:

— Trzysta talarów temu, kto ich ocali!

Wśród tłumu gwar i ruch spotęgował się. Radzono, zachęcano, ale — nie ratowano ofiar, które wyciągały ręce do stojących na ziemi i rozpaczały z bojaźni.

Wtedy wystąpił Adler. Zaządał długiej liny i drabinki z hakami. Liną przepasał się i podszedł do ognia.

Tłum oniemiał nie rozumiejąc, jakim sposobem Adler wejdzie na czwarte piętro? Na co mu lina?

Ale on miał sposób. Zaczepił drabinę na szerokim gzymsie pierwszego piętra i wbiegł tam jak kot. Stojąc na gzymsie zahaczył drabinę o gzyms drugiego piętra i po chwili był już tam. Płomienie opalały mu włosy i odzież, dym gęsty owijał go jak płachta, ale on drapał

się coraz wyżej, zawieszony nad ogniem i nad przepaścią jak pająk.

Gdy dosięgnął czwartego piętra, tłum wykrzyknął: „Hura!” i zaklaskał. Adler zaczepił drabinę na krawędzi dachu i z niepojętą zręcznością, on, chłopak niezgrabny i ciężki, wyniósł po kolei skazańców na dach.

Jedna ściana budynku nie miała okien. Adler tędy spuścił za pomocą liny ocalonych przez siebie, a wreszcie — zlazł sam. Gdy stanął na ziemi poparzony, oblany krwią, tłum porwał go na ręce i poniósł krzycząc.

Za ten czyn, prawie bezprzykładny, Adler dostał od rządu złoty medal, a od fabrykanta lepszą posadę i obiecane trzysta talarów.

Teraz w życiu Adlera nastąpił zwrot. Zobaczywszy się panem tak wielkiej sumy uczuł on przywiązanie do pieniędzy. Nie dlatego, że je nabył narażając się na śmierć, nie dlatego, że mu one przypominały ludzi, którym życie uratował, ale dlatego — że było ich aż trzysta talarów!... Jakby to pohulać można za taką masę pieniędzy... O ile świetniejszą byłaby hulanka

za tysiąc talarów i jak to już do tysiąca talarów niedaleko!...

Pieniądz obudził w nim nową namiętność. Adler wyrzekł się swoich nałogów, stał się skąpym i lichwiarzem. Zaczął pożyczać kolegom pieniądze na krótkie terminy, ale na wielkie procenta, a ponieważ obok tego bardzo pracował i szybko postępował naprzód, więc po upływie kilku lat miał już nie trzysta, ale trzy tysiące talarów.

Wszystko to robił z myślą, że gdy zbierze większą sumę, pohula raz jak bogacz. Lecz gdy suma urosła, wyznaczał dla niej nową granicę, do której szedł z taką samą zawziętością jak pierwiej. W tym zbliżaniu się do ideału, którym miało być najwyższe użycie, Adler powoli zatracił zmysłowe instynkty. Olbrzymie swoje siły topił w pracy, pozbył się dawnych marzeń i myślał o jednym tylko: o pieniądzach. Przez jakiś czas uważał je tylko za środek, widział poza nimi inny cel. Ale stopniowo i to znikło, a całą duszę jego wypełniły dwa pragnienia: pracy i pieniędzy.

W czterdziestym roku życia miał już pięćdziesiąt tysięcy talarów zebranych krwawym trudem, uporem, niezwykłym sprytem, skąpstwem i lichwą. W tym czasie przeniósł się do Polski, gdzie, jak słyszał, przemysł wielkie daje procenta. Tu założył niedużą fabrykę tkacką, ożenił się z kobietą posażną, która wydawszy na świat jedyne go syna, Ferdynanda, umarła — i począł dążyć do milionowej fortuny.

Nowa ojczyzna okazała się dla Adlera prawdziwą ziemią obiecaną. On, wyćwiczony w zawodzie tkackim i w wyścigu za groszem, znalazł się między ludźmi, z których jedni dawali się wyzyskiwać dlatego, że nie mieli pieniędzy, drudzy dlatego, że im łatwo przyszły i że mieli ich za dużo, inni dlatego, że im brakło sprytu, jeszcze inni dlatego, że wydawało się im, iż mają spryt. Adler gardził społeczeństwem pozbawionym najelementarniejszych przymiotów ekonomicznych i siły do walczenia z nim; lecz poznawszy grunt dokładnie, umiał z niego korzystać. Majątek rósł, a ludzie myśleli, że

szczęśliwemu fabrykantowi do jego zarobków dopływają z Niemiec jakieś fundusze.

Wraz z urodzeniem się Ferdynanda w drewnianym sercu Adlera zbudziło się uczucie nieograniczonej miłości ojcowskiej. Osieroczone niemowlę nosił on na rękach, często nawet do fabryki, gdzie chłopak przestraszony hałasem siniał z krzyku. Gdy podrósł, ojciec spełniał wszystkie jego życzenia, obsypywał go łakociami, otaczał służbą, dawał mu do zabawy złote pieniądze.

Im więcej rozwijało się dziecko, tym mocniej kochał je. Zabawy Ferdynanda przypominały mu własne dzieciństwo, zbudziły w jego duszy jakieś echa dawnych instynktów i marzeń. I otóż Adler patrząc na syna myślał, że on za niego użyje świata, on prawdziwą korzyść odniesie z bogactw, on spełni wygasłe, a tak niegdyś silne pragnienia owych odległych podróży, kosztownych uczt, niebezpiecznych wypraw...

„Byle podrósł — myślał ojciec — sprzedam fabrykę i pojedę z nim w świat. On będzie

hulał, a ja będę patrzył i chronił go od niebezpieczeństw”.

Ponieważ człowiek nie może dać innym więcej nad to, co sam posiada, więc Adler dał synowi żelazną organizację¹⁶, fizyczne zdrowie, egoistyczne popędy, majątek i nieprzepartą skłonność do hulatyki, ale nie rozwinął w nim wyższych instynktów. Ani ojciec, ani syn nie rozumeli przyjemności płynących z badania prawdy, nie odczuwali piękna w naturze ani sztuce, a ludźmi obaj pogardzali. W organizmie społecznym, w którym każdą jednostkę świadomie czy bezświadomie łączą tysiączne węzły sympatii i współczucia, oni dwaj nie byli z niczym związani, zupełnie wolni. Ojciec kochał pieniądze nade wszystko, a syna więcej niż pieniądze; syn — lubił ojca, ale kochał tylko siebie i te przedmioty, które zaspakajały jego pragnienia.

Zresztą chłopiec miał guwernerów¹⁷ i uczęszczał do szkół włącznie do szóstej klasy. Nauczył się kilku języków, tańczyć, gustownie ubierać,

¹⁶*organizacja* — tu: organizm. [przypis edytorski]

¹⁷*guwerner* — prywatny nauczyciel. [przypis edytorski]

elegancko mówić. Był łatwy w obejściu, jeżeli mu przeszkód nie stawiano, dowcipny, pieniędzmi hojnie rzucał. Lubiono go więc, chociaż głębiej na rzeczy patrzący Böhme twierdził, że chłopak niewiele umie i jest na złej drodze.

Ferdynand w siedemnastym roku życia był już donżuanem¹⁸, w osiemnastym wydalony został ze szkół, w dziewiętnastym kilka razy zgrał się w karty, a raz wygrał około tysiąca rubli, nareszcie w dwudziestym roku wyjechał za granicę. Tam, oprócz dużej sumy wyznaczonej mu przez ojca, zrobił około sześćdziesięciu tysięcy rubli długów i tym sposobem, co prawda mimo woli, przyczynił się do zaprowadzenia w fabryce *oszczędności*, za które obu ich: ojca i syna, przeklinały setki ludzi.

W ciągu dwuletniej nieobecności w domu Ferdynand zwiedził całą prawie Europę. Wdrapywał się na alpejskie lodniki¹⁹, był na Wezuwiuszu, puszczał się raz balonem, nudził się pa-

¹⁸*donżuan* — uwodziciel; określenie utworzone od imienia tytułowego bohatera dramatu Moliere *Don Juan*. [przypis edytorski]

¹⁹*lodnik* — lodowiec. [przypis edytorski]

rę tygodni w Londynie, gdzie domy są z czerwonej cegły, a w niedzielę nie ma zabaw. Ale najdłużej i najweselej przepędził czas w Paryżu.

Do ojca pisywał nieczęsto. Ile razy jednak jakieś silniejsze wrażenie potrafiło jego stalowe nerwy, tyle razy donosił o tym z najdrobniejszymi szczegółami. Toteż listy jego bywały dla Adlera prawdziwymi uroczystościami. Stary fabrykant odczytywał je bez końca, nasycił się każdym wyrazem, bo czuł, że każdy wskrzesza w nim dawne i gorące marzenia.

Jeździć balonem, zaglądać do wulkanu, tańczyć w tysiiąc par kankana w przebogatych salonach paryskich, kąpać kobiety w szampanie, wygrywać albo przegrywać na jedną kartę setki rubli: czyż to nie stanowiło ideałów jego życia, czy ich nie przewyższało?... Listy Ferdynanda były jakby tchnieniami jego własnej młodości i budziły w nim zamiast uniesienia, do którego był za stary, nowe, a dotychczas nie znane uczucie: rozrzewnienie.

Kiedy czytał opisy hulanki, kreślone na gorąco pod wpływem pierwszych wrażeń, w jego

surowym i realnym umyśle poruszało się coś na kształt poetyckiej fantazji. Chwilami widział to, co czytał. Ale wnet znikwały widzenia spłoszone rytmicznym łoskotem machin i szelestem tkackich warsztatów.

Adler miał teraz jedno tylko pragnienie, nadzieję i wiarę: zebrać milion rubli gotówką, sprzedać fabrykę i z całą masą pieniędzy wyjechać w świat razem z synem.

— On będzie używał, a ja będę patrzył po całych dniach!

Pastorowi Böhme wcale nie podobał się ten program godny zniszczonych starców Sodomy²⁰ albo cesarstwa rzymskiego.

— Gdy wyczerpicie wszystkie rozkosze i wszystkie pieniądze, co wam zostanie? — pytał Adler.

— Ach! Takie ale pieniądze nie wyczerpują się łatwo — odpowiedział fabrykant.

²⁰*Sodoma* — biblijne miasto, którego nazwa stanowi, wraz z Gomorą, symbol grzechu, rozpusty i bezbożności, zniszczone za karę przez Boga. [przypis edytorski]

III

Dzień powrotu Ferdynanda został oznaczony.

Adler wstał jak zwykle o piątej rano. O ósmej wypił kawę z kwartowego fajansowego kubka, na którym niebieskimi literami było wypisane: *Mit Gott für König und Vaterland*²¹. Potem zwiedził fabrykę, a około jedenastej wysłał na stację drogi żelaznej powozik dla syna i bryczkę pod jego bagaże. Potem usiadł na ganku przed pałacykiem z twarzą jak zwykle apatyczną i bezmyślną, chociaż — niecierpliwie spoglądał na zegarek.

Dzień był gorący. Na dziedzińcu woń rezedy i akacji mieszała się z ostrym zapachem dymu. Nieustannemu grzmotowi fabryki odpowiadał dwusylabowy krzyk pantarek²². Niebo było czyste, powietrze spokojne.

Adler ocierał spoconą twarz i ciągle zmieniał pozycje na żelaznej ławeczce, która za każdym razem zgrzytała jak z bólu. Stary fabry-

²¹*Mit Gott für König und Vaterland* (niem.) — Z Bogiem, za króla i ojczyznę; niem. hasło państwowe. [przypis edytorski]

²²*pantarka* — perliczka, ptak z rzędu kuraków. [przypis edytorski]

kant nie jadł dziś mięsnego śniadania o dwunastej i nie pił piwa z wielkiego kufla zamkniętego cynową nakrywką, jak to robił co dzień od lat trzydziestu.

Po godzinie pierwszej zajechał na dziedzińiec powozik z Ferdynandem i — próżna bryczka.

Ferdynand był to wysoki, trochę mizerny, lecz tego zbudowany młodzieniec, blondyn z jasnoniebieskimi oczami. Miał na głowie szkocką czapkę z dwiema wstęgami, a na reszcie ciała lekki płaszcz kolisty, z peleryną, bez rękawów.

Na jego widok fabrykant wyprostował olbrzymią postać i rozkładając ręce zawołał:

— Ha, ha, ha! No, jak się ty miewasz, Ferdynand?

Syn wyskoczył z powoziku, pobiegł na ganek, uścisnął ojca i pocałował go w oba policzki mówiąc:

— Cóż to, deszcz padał, że papa masz spodnie u dołu zawinięte?

Ojciec spojrział na spodnie.

— Jak ten wariat wszystko zaraz musi zobaczyć — rzekł. — Ha, ha! No, jak się ty masz?... Johann! śniadanie!...

Zdjął z syna płaszczyk i torbę podróżną i podał mu rękę jak damie. Wchodząc do przedpokoju jeszcze raz rzucił okiem na dziedziniec i spytał:

— Cóż to bryczka pusta?... Dlaczego nie odebrałeś rzeczy ze stacji?...

— Rzeczy? — odparł Ferdynand. — Papa myślisz, że się ożenił i wożę ze sobą kufry, kosze i pudełka?... Moje rzeczy mieszczą się w ręcznej walizce. Dwie koszule: kolorowa do podróży i biała do salonu, garnitur frakowy, neseserka²³, krawat i kilka par rękawiczek — oto wszystko.

Mówił żywo, głośno, ze śmiechem. Uściśnął kilka razy ojca za rękę i dalej ciągnął:

— Jakże się papa miewasz?... Co tu słychać?... Mówiono mi, że papa robisz świetne

²³*neseserka* — neseser; podróżna walizka. [przypis edytorski]

interesy na swoich perkalikach i barchanach²⁴?
Ale siadajmy!

Zjedli śniadanie prędko, tręcili się kieliszkami, a następnie przeszli do gabinetu ojca.

— Muszę tu zaprowadzić francuski tryb życia, a nade wszystko francuską kuchnię — mówił Ferdynand zapalając cygaro.

Ojciec skrzywił się pogardliwie.

— Na co nam ale to wszystko! — odparł.
— Alboż Niemcy mają złą kuchnię?

— To świnię!...

— He? — zapytał stary.

— Mówię, że Niemcy są świnię — ciągnął syn ze śmiechem. — Ani jeść, ani bawić się...

— No! — przerwał ojciec — więc co ale ty jesteś?...

— Ja? Ja jestem człowiek, kosmopolita²⁵, czyli obywatel świata.

To, że syn mianował się kosmopolitą, niewiele obchodziło Adlera, ale tak hurtowne zali-

²⁴*perkaliki i barchany* — rodzaje płótna. [przypis edytorski]

²⁵*kosmopolita* — człowiek nie odczuwający związku ze swoim narodem. [przypis edytorski]

czenie Niemców do rzędu nieczystych zwierząt ubodło go.

— Ja myślałem, mój Ferdynand — rzekł — że za te siedemdziesiąt dziewięć tysięcy rubli *niemieckich*, któreś wydał, ty nauczysz się trochę rozumu.

Syn rzucił cygaro na popielniczkę i skoczył ojcu na szyję.

— Ach! Wyborny papa jesteś! — krzyknął całując go. — Cóż to za nieoceniony wzór konserwatysty²⁶. Prawdziwy baron średniowieczny!... No, niech się papa nie chmurzy. Dalej!... uszy do góry, mina gęsta...

Porwał go za ręce, wyciągnął na środek pokoju, wyprostował jak żołnierza i mówił:

— Z taką piersią!...

Poklepał go po piersi.

— Z takimi łydkami!...

Uszczypnął go w łydkę.

— Gdybym miał młodą żonę, zamykałbym ją przed papą w okratowanym pokoju. A papa mimo to masz odwagę solidaryzować się z teo-

²⁶*konserwatysta* — przeciwnik postępu. [przypis edytorski]

riami pachnącymi o milę trupem?... A pal diabli Niemców z ich kuchnią! — oto hasło godne wieku i ludzi prawdziwie silnych.

— Wariat! — przerwał mu nieco udobruchany ojciec. — Cóż ale ty jesteś, jeżeliś przestał być niemieckim patriotą?

— Ja? — odparł z udaną powagą Ferdynand. — Ja tutaj jestem — polski przemysłowiec; między Niemcami — polski szlachcic: Adler von Adlersdorf; a między Francuzami — republikanin i demokrat.

Takie było przywitanie Ferdynanda z ojcem i takie duchowe zdobycze kupione za siedemdziesiąt dziewięć tysięcy rubli za granicą; chłopiec tyle zyskał, że we wszystkim umiał upatrywać stronę uprzyjemniającą życie.

Tego samego dnia ojciec i syn pojechali do pastora Böhme. Fabrykant przedstawił mu Ferdynanda jako nawróconego grzesznika, który stracił dużo pieniędzy, ale nabył za to doświadczenia. Pastor chrześniaka swego czule uściśkał i radził mu, ażeby wstąpił w ślady jego sy-

na, Józefa, który wciąż pracuje i pracować myśli do końca życia.

Ferdynand odpowiedział, że istotnie tylko praca nadaje człowiekowi rację bytu w społeczeństwie i że on dlatego był nieco trzpiotowatym dotychczas, ponieważ spędził młodość wśród narodu, który chełpi się lekkomyślnością i próżniactwem. Dodał w końcu, że jeden Anglik robi tyle, ile dwu Francuzów albo trzech Niemców, i że z tego powodu on, Ferdynand, nabrał w ostatnich czasach wielkiego szacunku dla Anglików.

Stary Adler był zdumiony powagą, szczerością i siłą przekonań syna, a Böhme zauważył, że młode piwko musi się wyszumieć i że korzystna zmiana, jaką swoim doświadczonym okiem spostrzega w Ferdynandzie, warta jest więcej nawet aniżeli siedemdziesiąt kilka tysięcy rubli.

Po uroczystych przemówieniach pastor, jego żona i przyjaciel zasiedli do butelki reńskiego wina i poczęli rozmawiać o dzieciach.

— Wiesz, miły Gotliebie — mówił Böhme — że zaczynam podziwiać Ferdynanda. Z tego, powiem ci, wietrznika wyrobił się, jak widzę, prawdziwy mąż, *verus vir*²⁷. Sąd o rzeczach ma wytrawny, samopoznanie także — zasady zdrowe...

— O tak! — potwierdziła pastorowa — on mi całkiem przypomina naszego Józia. Czy pamiętasz, ojczy, że Józio, jak był zeszłego roku na wakacjach, mówił o Anglikach zupełnie to samo co Ferdynand? Pocziwe dziecko!...

I dobra, szczupła żona duchownego westchnęła, poprawiając stanik czarnej sukni szytej, zdaje się, w przewidywaniu lepszej tuszy.

Tymczasem Ferdynand spacerował po ogrodzie z ładną Annetą, osiemnastoletnią córką państwa Böhme. Oboje znali się od dziecka i młoda panna życzliwie, a nawet z zapalem powitała dawno nie widzianego towarzysza. Chodzili z godzinę, ale że dzień był gorący, Annetę dostała widać nagłego bólu głowy i poszła do swego pokoiku, a Ferdynand wrócił do

²⁷*verus vir* (łac.) — prawdziwy mąż. [przypis edytorski]

kółka starszych. Tym razem mówił niewiele, był skwaszony, czemu nikt się nie dziwił (najmniej zaś oboje pastorostwo), ponieważ młodemu miłszym jest towarzystwo ładnej panienci anizeli najuczciwszych starców.

Gdy Adlerowie wrócili do siebie, Ferdynand powiedział ojcu, że musi jutro jechać do Warszawy.

— Po co? — krzyknął ojciec. — Czy by ci się w ciągu ośmiu godzin dom sprzykrzył?

— Ależ bynajmniej! Niech jednak papa zwróci uwagę, że potrzebuję bielizny, ubrania, a wreszcie powozu, w którym bym mógł składać wizyty sąsiadom.

Ojca wszelako nie przekonały te dowody. Powiedział, że do Warszawy pojedzie gospodyni po bieliznę i że o powóz on sam napisze do znajomego fabrykanta. Z garderobą było nieco trudniej; postanowiono jednak wysłać do krawca garnitur frakowy i według niego wybrać, co potrzeba.

Ferdynand skwasił się jeszcze bardziej.

— Czy masz papa choć aby jakiego wierzchowca na stajni?

— Co mi po nim? — odparł fabrykant.

— No, ale ja muszę go mieć i spodziewam się, że tego przynajmniej papa mi nie odmówisz...

— Bardzo naturalnie.

— Chciałbym zaraz jutro pojechać do miasteczka i dowiedzieć się, czy kto ze szlachty nie ma dobrego konia na sprzedaż. Myślę, że chyba i tego papa mi nie zabroni.

— Bardzo ale naturalnie.

Na drugi dzień Ferdynand już o dziesiątej rano wyjechał do miasteczka, a w kilka minut później na dziedzińcu ukazał się Böhme ze swoim wózkiem i konikiem. Pastor wydawał się niezwykle ożywiony; wbiegł do pokoju prędko. Między jego małymi faworycikami²⁸ i nieco przydługim nosem paliły się mocne rumieńce.

Ledwie zobaczył Adlera, wykrzyknął:

— Jest ten twój Ferdynand?

²⁸faworyty — baczki, bokobrody. [przypis edytorski]

Adler zdziwił się zauważywszy, że pastori-
wi drży głos.

— Co ty ale chcesz od Ferdynanda? — za-
pytał.

— A to hultaj jakiś... nic dobrego! — krzyk-
nął Böhme. — Czy ty wiesz, co on wczoraj po-
wiedział naszej Annetce?

Z miny fabrykanta widać było, że nic nie
wie i że nawet niczego się nie domyśla.

— Oto — ciągnął pastor zapalając się —
prosił ją, ażeby mu... — w tym miejscu urwał.
— Co za zuchwalstwo!... nieprzyzwoitość!...

— Co tobie jest, Marcynie? — pytał go za-
niepokojony Adler. — Co Ferdynand powie-
dział?

— Powiedział... żeby mu w nocy okno otwo-
rzyła do swego pokoju!...

I biedny pastor z nadmiaru oburzenia rzucił
panamski kapelusz na podłogę.

Adler o rzeczach nie mających związku z fa-
brykacją i sprzedażą bawełnianych tkanin my-
ślał bardzo powoli. Jego serce nie posiadało włók-
na zdolnego natychmiast odczuć krzywdę dziew-

częcia; ale tkwiło w nim uczucie przyjaźni dla pastora. Adler więc na tej podstawie, rozumując flegmatycznie²⁹, lecz logicznie, doszedł do wniosku, że gdyby panna usłuchała rad Ferdynanda, to jego syn musiałby się z nią ożenić. Ale to koniecznie musiałby się ożenić!... Stary nie pojmował innego wyjścia.

Więc Ferdynand, w kilka godzin po przyjeździe do domu i w kilkanaście minut po świetnej mównicy o poprawie, postawił się w tej pozycji, że on, syn milionera, musiałby połączyć się z panną bez posagu, z córką pastora?... On, żenić się?... On, który miał hulać pod bokiem ojca, używać świata, pieniędzy, młodości i niczym nie krępowanej swobody? Toteż dopiero wówczas, gdy nerwowy Böhme już wyzłościł się, wykrzyczał i ochłonał, w Adlerze wybuchnął gniew. W starym tkaczu zbudził się tygrys.

— Ach! Ten łajdak! — krzyknął Adler. — Tydzień temu zapłaciłem za niego pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli, dziś znowu wyciąga ode mnie pieniądze i jeszcze takie historie wyrabia!

²⁹*flegmatycznie* — powolnie, spokojnie. [przypis edytorski]

Podniósł obie ręce do góry i trzasnął nimi jak Mojżesz w chwili, kiedy rzucał kamienne tablice na głowy czcicieli złotego cielca.

— Kijem zbiję tego łotra!... — ryknął fabrykant.

Widząc uniesienie i odgadując, że kij w ręku Adlera opłakane może wywołać skutki, pastor zmiękł.

— Mój miły Gotliebie! — rzekł — to już jest całkiem niepotrzebne. Zostaw mnie tę sprawę, a ja Ferdynanda sam poproszę, ażeby albo omijał nasz dom, albo zachowywał się w nim z uczciwością i po chrześcijańsku.

— Johann! — wrzasnął fabrykant, a gdy służący ukazał się, rzekł podniesionym głosem: — Posłać mi zaraz do miasteczka po Ferdynanda. Kije dam temu łajdakowi!

Lokaj patrzył na pana zdziwiony i przestraszony. Pastor jednak mrugnął znacząco i domyślny Johann wyszedł.

— Miły Gotliebie! — mówił Böhme. — Ferdynand jest już za stary na to, ażebyś go bił kijem, a nawet strofował zbyt gwałtownie.

Niepomierna surowość nie tylko go nie poprawi, ale, powiem ci, może go popchnąć do rozpacz i... do targnięcia się na własne życie... To chłopak ambitny...

Uwaga ta w okamgnieniu oddziałała na Adlera. Starzec otworzył szeroko oczy i upadł na krzesło.

— Co ty mówisz, ale Marcinie? — zapytał stłumionym głosem. — Johann! Karafkę wody...

Johann przyniósł wodę, a fabrykant wypił ją chciwie i stopniowo począł się uspakajać. Już nie kazał sprowadzać Ferdynanda.

— Tak! Ten wariat mógłby to zrobić — szepnął tkacz i zgnębiony spuścił głowę na pierś.

Olbrzymi i energiczny starzec jasno zrozumiał w tej chwili, że syn jest na złej drodze, z której należałoby go sprowadzić. Ale w jaki sposób? — nie wiedział.

Pastor spostrzegł, że wybiła godzina, w której upomnienia jego mogą wywrzeć stanowczy wpływ na postępowanie fabrykanta z synem,

a więc i na poprawę lekkomyślnego młodzieńca. W jednej chwili przy pomocy właściwych mu szybkich kombinacji ułożył stosowną mowę, wezwał Boga na pomoc i...

Wsadził prędko rękę do lewej kieszeni spodni, a drugą ręką pomacał prawą kieszeń... Potem zaczął rewidować tylne kieszenie surduta, następnie — boczną zewnętrzną, boczną wewnętrzną... Nareszcie zaczął kręcić się niespokojnie.

— Czego ty chcesz, Marcynie? — spytał Adler zauważywszy skomplikowane ruchy pastora.

— Znowu gdzieś zgubiłem okulary! — szepnął zgryziony Böhme.

— Okulary masz przecie na czole...

— Prawda! — krzyknął pastor chwytając oburącz cenne narzędzie optyczne. — Co za roztargnienie!... jakie śmieszne roztargnienie!...

Zdjął z czoła okulary i wydobył żółtą fularową³⁰ chustkę, aby wytrzeć zapocone szkła.

³⁰*fularowy* — jedwabny. [przypis edytorski]

Jednocześnie wszedł buchalter³¹ fabryki z depeszą, którą odczytawszy Adler zawiadomił przyjaciela, że musi go zostawić i odejść do kancelarii dla wydania niecierpiących zwłoki rozporządzeń. Prosił go przy tym, aby został na obiedzie. Ale Böhme także miał obowiązki, więc wyjechał nie nauczwszy starego fabrykanta, jak winien postępować z synem w celu naprowadzenia go na drogę pocziwego i chrześcijańskiego żywota.

Późno wieczorem wrócił Ferdynand do domu w brylantowym humorze. Szukając po pokojach ojca zostawiał wszystkie drzwi otwarte, uderzał do taktu laską w stoły i krzesła jak w bęben i śpiewał mocnym, lecz fałszywym barytonem:

*Allons enfants de la patrie,
Le jour de la gloire est arrivé³²...*

³¹buchalter (przestarz.) — księgowy. [przypis edytorski]

³²*Allons enfants (...)* (fr.) — naprzód, dzieci ojczyzny, nadszedł dzień chwały...; początkowe słowa *Marsylianki*, wzywającej do walki rewolucyjnej pieśni z 1792 r., która stała się następnie hymnem Francji. [przypis edytorski]

Doszedł do gabinetu i stanął przed ojcem w czapce szkockiej osadzonej trochę na tył głowy, trochę na bakier, w rozpiętej kamizelce, spocony i ziejący winem. W oczach paliły mu się iskry wesołości niekrępowanej chłodnym rozsądkiem. Gdy zaś w śpiewie doszedł do wyrazów:

*Aux armes, citoyens!*³³...

wpadł w taki zapał, że machnął parę razy laską nad głową życiodawcy.

Stary Adler nie przywykł do tego, aby nad nim machano kijem. Zerwał się z fotelu i groźnie patrząc na syna krzyknął:

— Tyś pijany, łajdaku!

Ferdynand cofnął się.

— Mój papo — rzekł chłodno — proszę mnie nie nazywać łajdakiem. Bo jeżeli nawyknę w domu do podobnych wyrazów, to później nie zrobi mi to żadnej różnicy, gdy ktoś ob-

³³*Aux armes, citoyens!* (fr.) — do broni, obywatele!; początek refrenu *Marsylianki*. [przypis edytorski]

cy nazwie łajdakiem mnie albo mojego ojca... Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego.

Umiarkowany ton i jasny wykład zrobiły wrażenie na tkaczu.

— Hultaj jesteś! — odezwał się po chwili. — Bałamucisz córkę Böhme.

— A cóż papa chciał, żebym bałamuciał pastora? — zapytał zdziwiony Ferdynand. — Stare babsko, sama skóra i kości!

— No, bez konceptów ale! — zgromił go ojciec. — Właśnie był tu dziś u mnie pastor i prosił, ażeby noga twoja w jego domu nie pozostała. Nie chce cię znać!

Ferdynand rzucił czapkę i laskę na jakieś dokumenty fabryczne, sam legł na szezlongu³⁴; wyciągnął się, jak był długi, a pod głowę złożył rękę.

— A to mnie Böhme zmartwił! — rzekł śmiejąc się. — Owszem, zrobi mi łaskę, jeżeli uwolni mnie od nudnych wizyt. To rodzina dziwaków! Stary myśli, że mieszka między ludożercami, i wiecznie chce kogoś nawracać

³⁴szezlong — wąska kanapa, leżanka. [przypis edytorski]

albo cieszyć się z czyjegoś nawrócenia. Stara ma w głowie wodę, po której ciągle pływa ten uczony ślimak — Józio. A panna jest święta jak ołtarz, na którym tylko pastorom wolno odprawiać nabożeństwa. Po dwojgu dzieciach schudnie biedactwo jak jej matka, a wtedy — wieszuję mężowi! Co on będzie robił z takim klekotem?... Nudni ludzie... Obrzydliwi pedanci!...

— No tak, pedanci! — przerwał ojciec. — Z nimi ale nie puściłbyś we dwa lata siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy rubli.

Ferdynand chciał w tej chwili ziewnąć, lecz nie dokończył. Siadł na szeszlunku nie zdejmując z niego nóg i spojrzał na ojca z wyrzutem.

— Papa, widzę, nigdy nie zapomnisz tych kilku tysięcy rubli? — spytał.

— Naturalnie, że nie zapomnę! — krzyknął stary. — Co to jest, żeby ale człowiek mający rozum strwonił taką masę pieniędzy, diabeł wie na co?... Ja ci już wczoraj chciałem to samo powiedzieć.

Ferdynand czuł, że ojciec gniewa się nie-
szczerze. Opuścił nogi na podłogę, uderzył rę-
ką w kolano i począł mówić:

— Mój ojcie, pogadajmy choć raz w życiu
jak ludzie rozumni, bo sędzę, że papa nie uważa
mnie już za dziecko...

— Wariat jesteś! — mruknął stary, które-
go powaga syna chwyciła za serce.

— Otóż papa — ciągnął syn — jako czło-
wiek głębiej patrzący na rzeczy, pojmujesz, choć
wyznać tego nie chcesz, że ja jestem takim, ja-
kim mnie zrobiła natura i nasz ród. Ród nasz
nie składał się z jednostek podobnych do pa-
stora albo jego syna. Ród nasz nazwano nie-
gdyś: *Adlerami*, a więc ani żabami, ani rakami,
ale istotami posiadającymi naturę orłów. Ród
nasz, nawet fizycznie biorąc, składa się z ludzi
olbrzymiego wzrostu i w gronie swym posiada
jednostkę, która dziesięcioma palcami zdobyła
miliony i znakomite stanowisko w obcym kra-
ju. A więc ród nasz ma siłę, ma fantazję.

Ferdynand mówił to z prawdziwym czy fałszywym uniesieniem, a ojciec słuchał go wzruszony.

— Cóż jestem ja winien — ciągnął chłopak, stopniowo podnosząc głos — żem po przodkach odziedziczył siłę i fantazję? Ja muszę żyć, ruszać się i działać więcej aniżeli jakieś *Steiny*, *Blumy* i zwykłe *Vogle*, bo ja jestem — *Adler*³⁵. Mnie ciasny kąt nie wystarcza, ja potrzebuję świata. Moja siła wymaga wielkich przeszkód do zwalczania, trudnych warunków bytu albo — hulatyki, bo inaczej pękłbym... Ludzie mojego temperamentu trzęsą państwami albo zostają zbrodniarzami... Bismarck, zanim rozbił Austrię i Francję³⁶, rozbijał kufle na łbach filistrów³⁷, był tym — czym ja dziś jestem... Ja

³⁵*Steiny*, *Blumy* (...) — popularne nazwiska niem., tu użyte jako znaczące: *Stein*: kamień, *Blume*: kwiat, *Vogel*: ptak, *Adler*: orzeł. [przypis edytorski]

³⁶*Bismarck*, *zanim rozbił Austrię i Francję* (...) — chodzi o działania polityczne i militarne premiera i ministra spraw zagranicznych cesarstwa niem., a następnie pierwszego niem. kanclerza Ottona von Bismarcka (1815–1898). Wojny z Austrią (1866) i Francją (1870) w efekcie doprowadziły do powstania II Rzeszy i umocnienia pozycji Prus w Europie. [przypis edytorski]

³⁷*filister* (z niem. *Philister*) — dosł. absolwent uniwersytetu, członek korporacji studenckiej; przen.: mieszczuch, kołtun, człowiek małostkowy i ograniczony. [przypis edytorski]

zaś, ażeby wypłynąć na wierzch i być prawdziwym *Adlerem*, muszę znaleźć odpowiednie warunki. Dziś — żyję w nie swoim świecie. Nie mam czym zająć uwagi, zużyć siły i dlatego hulam, muszę hulać, bo inaczej zdechłbym jak orzeł w klatce... Papa miałeś w życiu swoje cele: rozkazywałeś setkom ludzi, puszczałeś w ruch maszyny, szarpałeś się z innymi o pieniądze. Ja i tej przyjemności nie mam!... Cóż będę robił?

— A któż ci broni zajmować się fabryką, dyrygować ludźmi i mnożyć kapitały? — spytał ojciec. — To byłoby lepsze niż przedwczesna hulatyka, która zjada pieniądze.

— Owszem! — wykrzyknął Ferdynand zrywając się na nogi. — Niech mi ojciec odda część swej władzy, a zaraz jutro wezmę się do pracy. Ja czuję jej potrzebę... W pracy, ale ciężkiej, rozwinęłyby mi się skrzydła... A więc oddaje mi ojciec kierunek nad fabryką? Obejmę go jutro, byle działać, bo mnie już męczy takie puste życie!

Gdyby stary Adler miał do rozporządzenia trochę łez, zapłakałby z radości. Tym razem

musiał ograniczyć się na wielokrotnym uściskaniu ręki syna, który przeszedł jego nadzieje.

Ferdynand chce kierować fabryką! Co za szczęście! Za kilka lat majątek ich podwoi się, a wówczas — zamieniwszy go na pieniądze pójdą obaj w świat szukać szerszych widnokręgów dla młodego orlęcia.

Fabrykant źle spał tej nocy.

Na drugi dzień Ferdynand istotnie poszedł do fabryki i począł zwiedzać wszystkie oddziały. Robotnicy patrzyli na niego ciekawie, prześcigali się w udzielaniu mu objaśnień i spełnianiu rozkazów. Wesoły i przyjacielski chłopak w porównaniu ze swym groźnym ojcem dobre robił na nich wrażenie.

Z tym wszystkim około godziny dziewiątej rano przyszedł do kancelarii jeden z podmajstrzych ze skargą, że panicz żonę mu bałamuci i że między pracującymi kobietami zachowuje się niesfornie.

— To głupstwo! — mruknął Adler.

W godzinę po nim wbiegł obermajster przędzalni przestraszony i zaperzony.

— Panie pryncypale³⁸! — zawołał do Adlera. — Pan Ferdynand dowiedziawszy się, że robotnikom znizono płacę, namawia ich, ażeby opuścili fabrykę. Powtarza to we wszystkich salach i opowiada inne niesłychane rzeczy.

— Czy zwariował ten hultaj? — wykrzyknął stary. Posłał natychmiast po syna i sam wybiegł naprzeciw niego. Zetknęli się przed składami. Ferdynand miał w ustach zapalone cygaro.

— Co?... ty palisz cygaro w fabryce! Rzuć mi zaraz!

I począł tupać nogami.

— Jak to, więc mnie nie wolno palić cygar? — zapytał Ferdynand. — Mnie? Mnie?

— Nikomu nie wolno palić w obrębie fabrycznego muru! — wrzeszczał Adler. — Ty mi cały majątek puścisz z dymem, ty mi ludzi buntujesz! Wynoś się stąd!

Ponieważ zajście miało mnóstwo świadków, Ferdynand obraził się.

³⁸pryncypał (przestarz.) — szef, zwierzchnik. [przypis edytorski]

— O! — zawołał — jeżeli papa myślisz mnie w taki sposób traktować, to basta! Daję słowo honoru, że odtąd nie przestąpię progu fabryki. Dostyc mam w domu podobnych przyjemności.

Zadeptał cygaro i poszedł do pałacyku nie spojrzawszy na ojca, który sapał rozgniewany, a trochę i zawstydzony.

Gdy powtórnie zeszli się przy obiedzie, stary rzekł:

— No! Daj ty mi spokój z twoją pomocą. Będę ci wypłacał trzysta rubli miesięcznie; dam ci powóz, konie, służbę i — rób sobie, co ci się podoba, byleś do fabryki nie chodził.

Ferdynand oparł łokcie na stole, brodę na rękach i począł mówić:

— Mój papo! Pogadajmy jak ludzie rozsądni. Ja w tym pałacyku życia marnować nie mogę. Nie wspomniałem papie dotąd, że jestem zagrożony chorobą spleenu³⁹ i że doktorzy kazali mi unikać nudów. Tymczasem u nas

³⁹*spleen* (ang.) — nastrój przygnębienia, melancholii; rodzaj depresji, chandra, apatia. [przypis edytorski]

życie jest bardzo jednostajne, a ja zaczynam wpadać w tęsknotę. Nie chciałem martwić papy, ale jeżeli jestem przez niego skazany na śmierć...

Ojciec przestraszył się.

— Daję ci przecież, wariacie, trzysta rubli na miesiąc! — krzyknął.

Ferdynand machnął ręką.

— No, więc czterysta...

Syn smutnie pokiwał głową.

— Sześćset, do diabła! — wrzasnął Adler uderzając pięścią w stół. — Więcej nie mogę, bo oszczędności fabryczne wyciągnięte są jak struna. Ty mnie doprowadzisz do bankructwa!

— Ha, spróbuję żyć za sześćset rubli miesięcznie — odparł syn. — O! Gdyby nie moja choroba!...

Wiedział biedak, że z podobnymi dochodami do Warszawy jechać nie warto. Tu jednak, na prowincji, mógł być królem miejscowej złotej młodzieży i — na tym obecnie poprzestał.

Był to młodzieniec na swój wiek rozsądny.

Od owego dnia Ferdynand począł znowu hulać, co prawda w szcuplejszym niż dawniej zakresie. Przede wszystkim złożył wizyty okolicznym obywatelom ziemskim. Poważniejsi nie przyjęli go, przyjęli chłodno albo nie rewizytowali, ponieważ stary Adler nie cieszył się dobrą opinią w okolicy, młodego zaś uważano za łobuza. Pomimo to udało mu się zawiązać albo odświeżyć znajomość z kilkunastu młodszymi i starszymi panami, tego co on stylu. Odwiedzał ich, zjeżdżał się z nimi w miasteczku albo przyjmował ich hucznie w domu ojca, którego piwnica i kuchnia w krótkim czasie wielką zyskały popularność.

Podczas takich uroczystości stary fabrykant wymykał się z domu. Pochlebiały mu wprawdzie tytuły i ułożenie niektórych przyjaciół Ferdynanda, w ogóle jednak nie lubił ich i często mawiał do buchaltera:

— Gdyby ci panowie razem złożyli swoje długi, mielibyśmy pod bokiem trzy fabryki takie jak nasza.

— Znakomite towarzystwo! — szepnął unizony buchalter.

— Błazny! — odparł Adler.

— Ja też w tym znaczeniu mówiłem — dorzucił buchalter uśmiechając się pokornie i szyderczo spod zielonej umbrelki.

Ferdynandowi całe noce schodziły na grze w karty i pijaństwie. Miewał też miłosne przygody i zdobył sobie wielki rozgłos. W fabryce tymczasem ugniatały ludzi wszelkiego rodzaju oszczędności. Ściągano kary za spóźnianie się, za rozmawianie, za szkody, niekiedy urojone; tym zaś, którzy nie umieli rachować, wprost urywano zarobki. Urzędnicy i robotnicy klęli pryncypała i jego syna, którego rozpustę widzieli, a co gorsza — sami ją musieli opłacać.

IV

Przed kilkudziesięcioma laty mieszkał w tej okolicy majątny szlachcic, którego sąsiedzi nazywali „dziwakiem”, istotnie, musiał to być osobliwy człowiek. Nie ożenił się, choć go swatano do późnej starości; nie hulał i — co stanowi-

ło najciemniejszą plamę jego życia — bawił się w nauczanie chłopów.

Otworzył elementarną szkołę, w której dzieci przede wszystkim uczyły się czytania, pisania, religii, rachunków tudzież szewstwa i krawiectwa. Każdy chłopiec musiał umieć szyć buty, sukmany, koszule, czapki, kapelusze i to stanowiło początek edukacji. Potem sprowadził ogrodnika, a następnie kowala, ślusarza, stolarza i kołodzieja. I znowu każdy wychowaniec, który poznał krawiectwo i szewstwo, musiał uczyć się ogrodnictwa, kowalstwa, ślusarstwa i kołodziejstwa, a obok tego arytmetyki w obszernym zakresie, geometrii i rysunku.

Sam pan wykladał im geografję i historję, czytał książki naukowe i opowiadał mnóstwo anegdot, z których zawsze wypływała zasada, że trzeba być pracowitym, uczciwym, rozumnym, cierpliwym, oszczędnym i posiadać wiele innych przymiotów, ażeby zostać prawdziwym człowiekiem.

Okoliczni panowie sarkali na niego, że psuł chłopów, a ludzie fachowi wyśmiewali go, że

dzieci uczył wszystkich rzemiosł. Ale on na zarzuty wzruszał ramionami i twierdził, że gdyby na świecie było wielu Robinsonów, którzy za młodu ze wszelkimi rzemiosłami obeznać by się musieli, to — byłoby mniej ludzi ograniczonych, hultajów i przykutych do jednego miejsca niewolników.

— Zresztą — mówił dziwak — taki jest mój kaprys, jeżeli chcecie. Wam wolno hodować pewne gatunki psów, bydła i koni, niechże mnie będzie wolno hodować pewien gatunek ludzi.

Szlachcic umarł nagle. Majątek po nim odziedziczyła rodzina, strwoniła go w ciągu kilku lat, a o szkole zapomniano. Ale szkoła wydała pewną liczbę jednostek dużej wartości ekonomicznej, umysłowej i moralnej, choć żaden z nich nigdy nie zajął wybitnego stanowiska.

Duch szlachcica musiał cieszyć się w niebie z kierunku swoich wychowawców na ziemi; on bowiem nie kształcił ich na geniuszy, ale na użytecznych obywateli średniej miary,

jakich pewnym społeczeństwom zawsze braknie.

Jednym z wychowawców nieboszczyka był Kazimierz Gosławski. I on uczył się za młodu różnych rzemiosł, ale głównie umiłował twarde, to jest ślusarstwo i kowalstwo. Obok tego umiał wyrysować plan maszyny i budowli, zrobić powikłany rachunek, przygotować drewniany model do odlewni, a od biedy — uszyć sobie kapotę i buty. Gosławski im dłużej żył, tym dokładniej rozumiał metodę swego mistrza i pojmował praktyczną doniosłość jego moralnych anegdot. Wspomnienie o nim czcił jak świętość i wraz z żoną i czteroletnią córeczką modlił się co dzień za dobroczyńcę, bodaj czy nie goręcej aniżeli za własnych rodziców.

Ten Gosławski od siedmiu lat pracował w mechanicznym oddziale fabryki Adlera; zarabiał po dwa, czasem i po trzy ruble na dzień i co prawda był duszą swego warsztatu. Kołatał się tam jakiś naczelnny mechanik, Niemiec, biorący półtora tysiąca rubli rocznie; ale ten więcej

zajmował się fabrycznymi plotkami anizeli mechaniką.

Rzecz prosta, że dla utrzymania powagi ów naczelnik wydawał rozkazy i objaśniał robotników, ale w taki sposób, że nikt go nie rozumiał i nie słuchał. Było to dla fabryki szczęście; gdyby bowiem mechaniczne idee jego przyoblekano jak należy w stal, żelazo i drzewo, większa część machin po pierwszym zepsuciu się musiałyby iść na szmelc albo pod kocioł.

Dopiero gdy Gosławski poznał się z machiną, wyrozumiał jej uszkodzenie i podał plan naprawy, a głównie gdy sam przyłożył ręki, machina szła dobrze. Niejednokrotnie prosty ten ślusarz przekształcał pojedyncze organa machin na inne; czasami robił wynalazki, ale o tym ani on, ani nikt nie wiedział. Gdyby wiedziano, wynalazek porachowałby się na karb geniuszu naczelnego mechanika, który wciąż chwalił się robotami, jakie wykonywał za granicą, i twierdził, że tylko w ciemnej Polsce nie może stworzyć nic nowego i wzbić się na stanowisko dyrektora kilku fabryk. Jakich? — mniejsza o to.

Człowiek ten był pewny, że mógł kierować wszystkim: fabryką lokomotyw i fabryką pudrety⁴⁰ — byle nie w Polsce, gdzie polot jego geniuszu krępowały: dzikość robotników, klimat i tym podobne przeszkody.

Adler zanadto miał bystre oko, ażeby nie poznać się na wartości Gosławskiego, a nieudolności naczelnika warsztatu. Ponieważ jednak Gosławski wydawał mu się niebezpieczny jako materiał na samodzielnego pryncypała, a naczelnik mechanik był dobrym plotkarzem, więc pierwszego trzymał w ukryciu, a drugiego na posadzie. Tym sposobem wszyscy byli zadowoleni, a świat ani domyślał się, że znakomita fabryka opiera się na głowie eines dummen polnischen Arbeiters⁴¹.

Gosławski był średniego wzrostu. Kiedy z wywiniętymi rękawami pracował schylony przy śrubsztaku, wydawał się pospolitym robotnikiem z grubymi rękami i nieco wygiętymi nogami. Ale gdy spojrział spod ciemnych włosów,

⁴⁰*pudreta* — rodzaj nawozu organicznego. [przypis edytorski]

⁴¹*eines dummen polnischen Arbeiters* (niem.) — głupiego polskiego robotnika. [przypis edytorski]

które mu spadały na czoło, poznawałeś — rozwiniętego duchowo człowieka. Jego szczupła i blada twarz ujawniała nerwowe usposobienie, a spokój i szare, myślące oczy — panowanie rozsądku nad temperamentem.

Mówił — ani za wiele, ani za mało, niezbyt cicho i niezbyt głośno. Ożywiał się, ale nie wpadał w uniesienie i umiał słuchać patrząc przy tym ciekawie i rozumnie w oczy mówiącemu. Tylko plotek fabrycznych słuchał nie odrywając się od pracy: — „bo to — jak mówił — na nic!” — ale najpilniejszą robotę przerywał, aby dowiedzieć się objaśnienia z zakresu swego zawodu. Względem kolegów trzymał się nieco na uboczu, ale życzliwie. Rad udzielał chętnie, nawet pomagał w drobnych robotach, ale sam o nic nikogo nie prosił: nie śmiał prosić, bo cudze wiadomości i czas tak szanował jak i cudze pieniądze.

Celem jego życia było założyć własny warsztat kowalsko-ślusarski. O tym zawsze myślał i głównie dlatego oszczędzał część zarobków. Pieniądze trzymał w domu, pożyczać innym nie

lubił, wolał raczej darować jakieś parę złotych. Ale skąpy nie był. Oboje z żoną mieli dostatek odzienia, jadali skromnie, lecz przyzwyczajeni, a sam Gosławski nie żałował sobie przy niedzieli kufelka piwa, czasami — kieliszka wina.

Żyjąc tym trybem zebrał około półtora tysiąca rubli i przez znajomych wywiadywał się, czy który z obywateli ziemskich nie dałby mu budowli na otworzenie warsztatu w majątku? W zamian za to Gosławski dworskim obstarunkom dawałby pierwszeństwo przed innymi. Układy takie między obywatelami i majstrami wyrobów żelaznych dokonują się niekiedy, a Gosławski miał nawet upatrzone jedno miejsce od św. Michała.

Zarobki jego w fabryce były dość chwiejne. Gdy przyszło wyrabiać nowy przedmiot, w czym Gosławski był nieporównany, płacono mu od sztuki doskonale; lecz gdy wyrobił kilka sztuk i poduczył innych, zniżano mu płacę do połowy, do czwartej, a niekiedy i do dziesiątej części. Czasami za to, za co przed kwartałem

brał rubla, po kwartale brał 20 lub 10 kopiejek. Wówczas dla wyrównania zarobków przesiadywał w fabryce po kilka godzin dłużej; przychodził wcześniej i wychodził później.

Gdy inni skarżyli się, że pryncypał wyzykuje wszystkich, Gosławski zwykle odpowiadał:

— Z nim tak samo robili, nie ma się czemu dziwić!

Ale niekiedy tracił cierpliwość i szeptał przez zaciśnięte zęby:

— Złodziej Szwab!

Żona dla zrobienia mu ulgi chciała także chodzić do fabryki, ale ją zgromił:

— Pilnuj lepiej dziecka i obiadu! Zarobisz dwa złote na fabryce, a w domu przez ten czas zginie rubel.

Wiedział on wprawdzie, że żona mogła zarobić i więcej, a dom straciłby mniej, ale — był ambitny i nie chciał, ażeby przyszła pani majstrowa zadawała się z pospolitymi robotnikami.

Mężem był dobrym. Czasami marudził, że jedzenie jest niesmaczne albo późno ugotowane, że dziecko zawałało się albo że bielizna zbyt mocno jest zafarbkowana. Ale nigdy nie wymyślał, a nawet nie podnosił głosu jak inni. Co niedzielę prowadził żonę o parę wiorst do kościoła, a jeżeli dzień był pogodny, brał córeczkę i niósł ją na rękach. Ile razy był w mieście, przynosił gościńca: dziecku obwarzanek albo piernik, żonie tasiemkę, wstążkę, nici albo cukier i herbatę.

Córeczkę kochał i pieścił się z nią, ale tęsknił do syna, którego nie miał.

— Co to za pociecha z dziewczyny? — mówił nieraz. — Chowa się ją dla ludzi i jeszcze dopłacać trzeba, ażeby ją wzięli. A syn — to podpora na starość, on by mógł i warsztat objąć...

— Miej ty naprzód warsztat, a syn się znajdzie — odpowiedziała żona.

— I, i, i!... gadasz mi to od trzech lat... Z ciebie już chyba nie będzie pociechy — kończył ślusarz.

Tymczasem żona nie na próżno chwaliła się i w szóstym roku małżeństwa, właśnie gdy młody Adler powrócił z zagranicy, powiła syna. Ślusarz był zachwycony. Na chrzciny wydał ze trzydzieści rubli, a żonie sprawił nową suknię, nie licząc wydatków, jakie za sobą pociągnęła słabość. Z oszczędzonych pieniędzy ubyło mu około stu rubli, które do świętego Michała postanowił odzyskać.

Na nieszczęście w fabryce zaprowadzono *oszczędności*. Tym razem Gosławski klął pospół z innymi, ale z podwojoną gorliwością pracował. Przychodził do fabryki o piątej, wracał do domu czasem o jedenastej w nocy taki zmęczony i senny, że niekiedy z żoną się nie witał, dzieci nie ucałował, tylko upadał w ubraniu na łóżko i zasypiał jak kamień.

Taka nadzwyczajna gorliwość gniewała jego kolegów. Najbliższy zaś przyjaciel, Żaliński, który prowadził maszynę parową (człowiek otyły i prędki), rzekł raz do Gosławskiego:

— Cóż ty, Kazik, u diabła, tak podlizujesz się staremu i innym psujesz interes!... Kiedy wczoraj poszło do niego kilku skarżyć się, że zarobki są za małe, to im powiedział: „Róbcie jak *Gosławski*, to wam ale wystarczy”.

Gosławski tłumaczył się:

— Mój kochany! — mówił. — Żona mi była chora, po doktora musiałem trzy razy posyłać do miasta i płacić mu po dwa ruble; inne wydatki także były spore. Chciałbym odbić, co się da, bo przecież idę na swój chleb. A że jeszcze ten kundel zniżył zapłatę, więc cóż mam robić?... Muszę orać do czasu, choć mnie i w piersiach kole, i w głowie się kręci.

— Bah! — wtrącił Żaliński — odbijesz to na czeladzi w swoim warsztacie.

Gosławski machnął ręką.

— Ja nie chcę korzystać z cudzej krzywdy. Nie dam swego, ale i nie zabiorę cudzego.

I wziął się znowu do roboty, która go tak już wyczerpywała, że czasami myśli zebrać nie mógł.

Byle doczekać własnego chleba, a wtedy o wszystkim się zapomni!

Praca jednak była za ciężka. Można zdobywać utrzymanie dla kilku osób, można część sił zamieniać na oszczędności dla jutra. Ale żywić rodzinę, oszczędzać, odzyskiwać poniesione wydatki na słabość żony i w końcu płacić za podróże młodego Adlera — to przechodziło siły zwyczajnego człowieka. Gosławski czerpał już z kapitału zdrowia. Schudł, pobladł, zesmutniał. Czasami oblany potem zwieszał ręce na śrubsztaku i dziwił się, że w myśli jego, tak zwykle pełnej ruchu i kombinacji, dziś jest ciemno i pusto. Może ustałby w pracy, gdyby wśród owych ciemności nie czytał ognistego szyldu z napisem: „Mechaniczny warsztat Gosławskiego”!

Dalej!... już tylko trzy miesiące.

Tymczasem los znowu dopisał Adlerowi. Wyroby jego, rzeczywiście doskonałe, zyskały szerszy zbyt, a w lipcu fabryka otrzymała podwójną ilość obstalunków. Stary tkacz po naradzie z zaufanymi urzędnikami przyjął wszyst-

kie zamówienia i jednocześnie za całą prawie gotówkę, jaką posiadał w banku, kazał kupić bawełny. Robotnikom zapowiedziano, że będą pracowali do dziewiątej godziny co wieczór i że za godziny dodatkowe otrzymają półtora raza większą zapłatę. Postanowiono także urządzić kilkanaście nowych warsztatów i rozmyślano nad tym, w jaki by sposób zużytkować można było dni świąteczne? Adler i pod tym względem miał już gotowy plan. Za robotę w święta płaciłoby się z początku — ceny podwójne, w miarę zaś przyzwyczajania się robotników do nowości, zniżano by im płacę. Według obrachowań fabrykanta, gdyby wszystko szło pomyślnie, bez nieprzewidzianych wypadków, to rok bieżący pozwoliłby mu ostatecznie zamknąć rachunki z tkactwem. Wówczas sprzedałby fabrykę, na którą chętnych nie brakło, i zabrawszy kilka milionów rubli wyjechałby z synem za granicę.

W taki to sposób Gosławski i Adler, robotnik i pryncypał, prawie współcześnie⁴² zbli-

⁴²*współcześnie* — tu: równocześnie. [przypis edytorski]

żali się do urzeczywistnienia swych nadziei: jeden do własnego warsztatu, drugi — do użycia nagromadzonych pieniędzy.

Spotęgowana działalność fabryki odbiła się przede wszystkim na warsztatach mechanicznych. Przyjęto kilku nowych ludzi, czas pracy obowiązkowej przedłużono do godziny dziewiątej, a nadobowiązkowej — do dwunastej w nocy. Za pierwsze dwie godziny płacono półtora raza, za następne trzy — dwa razy więcej niż zwykle. Jednocześnie zaprowadzono ściślejszą kontrolę, a jeżeli kto opuścił robotę przed terminem, wytrącano mu w taki sposób, że zysk redukowiał się prawie do zera. Toteż robotnicy pilnowali się, a najwięcej Gosławski, który, jako najbieglejszy w zawodzie, musiał przesiadywać do północy.

Teraz już sam Gosławski uczuł, że ma za wiele obowiązków, i poprosił Adlera o ulgę. Fabrykant przyznał mu słuszność i zaproponował nowy układ. Gosławski odtąd miał brać zapłatę dzienną, robić własnoręcznie tylko te części machin, które wymagały największej do-

kładności, przeważnie zaś — pilnować biegu prac i udzielać objaśnień. Faktycznie więc był naczelnikiem warsztatu, do czego jednak dołączono mu zajęcia zwykłego robotnika z pensją majstra.

Takie warunki, których nie przyjąłby żaden Niemiec, z początku pochlebiali Gosławskiemu. Niebawem jednak przekonał się, że go i tym razem wyzyskano: pracę bowiem fizyczną miał wciąż tak wielką jak dawniej, a nadto — musiał wyteżać umysł. Cały dzień upływał mu na przebieganiu od kowadła do śrubsztaka, od śrubsztaka do tokarni, przy czym nieustannie nachodzili go koledzy, którym zdawało się, że Gosławski nie tylko powinien ich objaśniać, ale i sam wszystko robić.

W końcu lipca Gosławski wyglądał jak automat. Nie uśmiechał się, o rzeczach nie mających związku z warsztatem prawie nie rozmawiał, a nawet zaniedbał się w ubraniu, on, tak lubiący porządek. Z żoną nie chodził w niedzielę do kościoła, a natomiast spał do południa. W stosunkach bywał opryskliwy. Naj-

większą przyjemność znajdował w spaniu, jak człowiek powracający do zdrowia. Żywsze zaś uczucie błyskało w nim chyba wówczas, gdy całował syna na dzień dobry i na dobranoc.

Gosławski rozumiał swój stan, wiedział, że pożera go praca, ale usunąć się od niej nie miał sposobu. Z owym obywatelem, który dawał mu budowlę na warsztat, umowa miała być podpisana dopiero w sierpniu, a przeprowadzić się na miejsce mógł dopiero w październiku.

Cóż zatem robić? Jeżeli dziś rzuci fabrykę, musi żyć z gotówki i przez dwa miesiące straci paręset rubli, tak ciężko zapracowanych i tak na początek niezbędnych. Trzeba więc trzymać się obecnego stanowiska i wyteżać siły. Miał zresztą nadzieję, że tygodniowy odpoczynek po przeprowadzeniu się na własne gospodarstwo orzeźwi go i przywróci zachwianą równowagę sił.

Swoją drogą tak dalece obrzydła mu fabryka, że nosił przy sobie kalendarzyk i każdy upłyniony dzień wykreślał. Już tylko półtrzecia mie-

siąca... Już sześćdziesiąt pięć dni... Już dwa miesiące!

V

Pewnej soboty, w sierpniu, w nocy, warsztat mechaniczny kipiał bieganiną i pracą.

Warsztat składał się z obszernej sali pełnej okien jak oranżeria. Pod jedną ścianą leżała parowa machina nadająca ruch wykonawczym mechanizmom, pod drugą — stały dwa ogniska kowalskie. Znajdował się tu jeszcze mały młotek podrzucany palczastym kołem, kilkanaście śrubsztaków ślusarskich, tokarnia, *bormaszyny*⁴³ i inne przyrządy.

Zbliżała się północ. W reszcie fabryki światła dawno pogasły, znużeni tkacze spali w mieszkaniach; ale tu panował ruch. Przyśpieszony oddech maszyny parowej, tętnienie tłoków, huk młotów, turkot tokarni, zgrzyt pilników — potęgowały się na tle nocnej ciszy. W atmosferze nasyconej parą, pyłem węgla i delikatnymi opiłkami żelaza, jak błędne ognie migota-

⁴³*bormaszyna* (z niem.) — wiertarka. [przypis edytorski]

ły płomienie kilkudziesięciu lamp gazowych. Przez wielkie okna, nieustannie drgające od łoskotu, zaglądał księżyc.

W sali prawie nie rozmawiano. Robota była pilna, godzina późna, więc ludzie śpieszyli się w milczeniu. Tu grupa czarnych kowali dźwiga wielką, rozpaloną do białości sztabę żelaza pod młot. Tam szereg ślusarzy jak na komendę schyla się i podnosi nad szeregiem śrubsztaków. Naprzeciw nich zgięci tokarze pilnują obrotu swoich machin. Spod młotów pryskają iskry. Czasami rozlega się rozkaz albo przekleństwo. Niekiedy kucie i piłowanie przycicha, a wówczas słychać żalosny jęk wiatraków dmuchających na kowalskie ogniska.

Największą tokarnią obsługuje Gosławski. Obtacza on duży, stalowy walec, który musi być wyrobiony bardzo dokładnie. Ale praca idzie niesporo. Gosławski dziś miał tyle zajęcia, że nie mógł nawet opuścić warsztatu w czasie pauzy wieczornej, jest więc bardzo zmęczony i senny. Trapi go lekka gorączka; strugi potu oblewają mu ciało.

Chwilami skutkiem zmęczenia doświadcza sennych halucynacji i zdaje mu się, że jest gdzie indziej, nie w warsztacie. Wnet jednak otrząsa się, zasmolonymi rękami przeciera oczy i z trwogą spogląda, czy nóż nie za wiele zebrał z walca.

— Oto spać się chce! — rzekł do niego sąsiad.

— Prawda! — odparł Gosławski siadając na stołku.

— Chyba tak z gorąca — zauważył sąsiad. — Maszyna ogromnie rozpalona, kowale robią przy obu ogniskach... Zresztą już późno... Zażyj pan tabaki!

— Bóg zapłać! — podziękował Gosławski. — Fajka by mnie orzeźwiła, ale nie tabaka... Napiję się lepiej wody.

Odszedł parę kroków i zardzewiałym kubkiem zaczerpnął wody z beczki. Ale woda była ciepła i Gosławski, zamiast orzeźwić się, uczuł, że jeszcze bardziej potnieje i opada z sił.

— Która u pana godzina? — zapytał sąsiada.

— Trzy kwadransy na dwunastą... Skończysz pan dziś robotę?

— Zdaje się, że skończę — odparł Gosławski. — Jeszcze trzeba na jakiś włos zebrać... a tu mi się tak dwoi w oczach.

— Z gorąca! z gorąca! — mówił sąsiad.

Zażył znowu tabaki i poszedł do swojej toczarki.

Gosławski zmierzył średnicę toczonego walca, posunął nóż, ścisnął go śrubą i znowu puścił w ruch maszynę. Po chwilowym wysiłku uwagi nastąpiła w nim reakcja i począł drzeć stojąc z oczyma wlepionymi w błyszczącą powierzchnię walca, na którą upadały krople wody.

— Czyś pan do mnie co mówił? — zapytał nagle sąsiada.

Ale sąsiad pochylony nad swoim warsztatem nie słyszał pytania.

Teraz wydało się Gosławskiemu, że jest u siebie w domu. Żona i dzieci śpią, na komodzie pali się przykręcona lampa, jego łóżko już rozbrane. Oto stół, przy nim krzesło... Znużony

chciał usiąść na krześle, więc — oparł ciężką rękę na krawędzi stołu...

...W tej chwili tokarnia dziwnie zgrzytnęła. Coś w niej pękło, zaczęło się łamać i — straszny jęk ludzki rozległ się po warsztacie.

Prawa ręka Gosławskiego dostała się między tryby, które zajęły mu naprzód palce, potem dłoń, potem kość łokciową. Krew trysnęła. Nieszczęśliwy oprzytomniał, jęknął, szarpnął się i — padł obok tokarni. Przez mgnienie oka wisiał jak przykuty do maszyny, ale zmiażdżone kości i poszarpane mięśnie nie mogły utrzymać ciężaru, przerwały się i Gosławski runął na ziemię.

Wszystko to stało się w ciągu kilkunastu sekund.

— Wstrzymać maszynę! — krzyknął sąsiad Gosławskiego.

Ślusarze, tokarze, kowale porzucili robotę i zbiegli się do rannego. Maszynę wstrzymano. Jeden z robotników wylał na Gosławskiego konewkę wody. Jakiś młody robotnik, zobaczyw-

szy fontannę krwi tryskającą na tokarnią, na podłogę i na obecnych, dostał spazmów; kilku wybiegło z warsztatu nie wiadomo po co.

— Doktora!... — zawołał zmienionym głosem ranny.

— Bierzcie konie! Biegnijcie do miasteczka! — krzyczeli robotnicy jak nieprzytomni.

— Krew! Krew! — jęczał ranny.

Obecni nie wiedzieli, czego chciał.

— Na miłość boską, zatamujcie krew! Zwiążcie rękę.

Ale nikt się nie ruszył. Jedni nie wiedzieli, jak związać rękę, drudzy osłupieli.

— Oto fabryka! — krzyknął sąsiad Gosławskiego. — Ani doktora, ani felczera. Gdzie Szmit? Biegnijcie po Szmita!

Kilku ruszyło po Szmita, owego robotnika, który miał zastępować felczera. Tymczasem stary kowal, przytomniejszy widać od innych, ukląkł przy rannym i ścisnął mu palcami rękę powyżej łokcia. Krew poczęła spływać wolniej. Rana była straszna. Zamiast dłoni zostały tylko dwa palce: wskazujący i wielki. Reszta ręki

prawie do łokcia była poszarpana i jakby usiekana z zakrwawionymi szmatami koszuli.

Ledwie w kwadrans zjawił się Szmit przeżony nie mniej od innych. Obwiązał on zmiażdżoną rękę mnóstwem gałganów, które natychmiast przesiąkły krwią, i kazał zanieść rannego do domu.

Koledzy położyli go na warsztatowych noszach; dwu niosło go, dwu podtrzymywało mu głowę; reszta otoczyła ich — i tak szli gromadą.

W kantorze nie było nikogo; w pałacyku Adlera nie świeciło się. Psy zwietrzywszy krew zaczęły wyć. Nocny stróż zdjął czapkę i patrzył wybladły na orszak posuwający się z wolna po gościńcu oświeconym blaskami księżyca.

W otwartym oknie robotniczego domu ukazał się człowiek ubrany w bieliznę i zapytał:

— Hej, a co tam?

— Gosławskiemu urwało rękę! — odpowiedziano z gromady.

Chory cicho jęczał.

Z daleka na gościńcu rozległ się turkot i kłus. Ujrzano parę siwych koni, stangreta w liberii⁴⁴ na koźle, a w głębi powozu — rozwalonego Ferdynanda Adlera, który z pijatyki wracał do domu.

— Na bok! — krzyknął stangret na gromadę.

— To ty zjedź na bok, bo my niesiemy ranego.

Smutny orszak zrównał się z powozem. Młody Adler ocknął się z drzemki, wychylił się z powozu i zapytał:

— A to co?

— Gosławskiemu urwało rękę.

— Czy temu, co ma ładną żonę?

Chwila milczenia.

— Widzisz, jaki mądry! — mruknął ktoś. Ferdynand oprzytomniał i zmieniając ton mowy zapytał:

— Doktor opatrzył go?

— Doktora nie ma przecież w fabryce.

— Ach, prawda!... A felczer?

⁴⁴*liberia* — ubranie służby. [przypis edytorski]

— I felczera nie ma!

— Aha! To trzeba posłać konie do miasteczka.

— Jużci, że trzeba — odpowiedział ktoś.
— Może wielmożny pan zaraz z miejsca każe zawrócić?

— Moje konie są zmęczone — odparł Ferdynand — ale wyślę inne.

Powozik ruszył.

— Podły! — rzekł jeden z robotników. — Jak my zmęczymy się przy robocie, to nas nie zmienia, ale o konie to dba!

— Bo konie trzeba kupić, a ludzie są darmo — wtrącił inny.

Gromada doszła do domu, w którym mieszkał Gosławski. W oknie paliła się jeszcze lampa. Jeden z robotników ostrożnie zapukał.

— Kto tam?

— Niech pani Gosławska otworzy!

Po chwili we drzwiach ukazała się do połowy rozebrana kobieta.

— Co to jest? — zapytała patrząc na gromadę przerażona.

— Mąż pani trochę skaleczył się i przynieśliśmy go.

Gosławska podbiegła do noszy.

— Jezu mój! — krzyknęła. — Co tobie, Kaziu?

— Nie budź dzieci — szepnął mąż.

— Matko miłosierna, krew!... Tyle krwi!

— Cicho, cicho! — szeptał ranny. — Rękę mi urwało, ale to nic. Poślijcie po doktora.

Kobieta zaczęła łkać, trząść się. Dwaj robotnicy wzięli ją pod rękę i wprowadzili do pokoju. Inni wnieśli rannego, który siniał z bólu i gryzł wargi, lecz obawiał się jęknąć, aby nie obudzić dzieci.

Z rana doniesiono Adlerowi o wypadku. Wysłuchał pogrążony w zamyśleniu i spytał:

— A doktor był?

— Posłano do miasta w nocy, ale i doktor, i felczer rozjechali się do chorych.

— Trzeba sprowadzić innego. Trzeba także wysłać ale depezę do Warszawy po ślusarza na miejsce Gosławskiego.

Około godziny dziesiątej poszedł do warsztatu obejrzeć tokarnię, która zepsuła się.

Przy nieszczęsnej machinie stąpił niechcący w kałużę krwi i drgnął, ale wnet zapanował nad sobą. Uważnie przypatrzył się zębatym kołom, na których widać było zsiadłą krew, ciało ludzkie, parę kawałków płótna z koszuli i kilka szczerb.

— Czy mamy jeszcze takie same kółko? — zapytał mechanika.

— Tak! — szepnął blady Niemiec, którego widok krwi przyprawiał o mdłości.

— A doktor jest?

— Jeszcze nie ma.

Adler syknął. Nieobecność lekarza robiła na nim przykre wrażenie.

Około południa dano znać fabrykantowi, że doktor przyjechał. Stary szybko wyszedł z domu. Przechodząc około drzwi Ferdynanda, który po pijatyce jeszcze spał, zapukał w nie kijem; ale syn nie odezwał się.

Przed mieszkaniem Gosławskiego stało dużo robotników. W kościele mało kto był. Wszy-

scy pragnęli dowiedzieć się o losie rannego i usłyszeć szczegóły wypadku. Gosławską i dzieci wzięła do siebie sąsiadka.

Tłum szemrał, ale gdy zobaczono Adlera, umilkły rozmowy. Tylko najbojaźliwsi witali się z nim, inni odwracali się, a śmielsi patrzyli na niego nie uchylając czapek.

Fabrykanta coś tknęło.

„Czego oni chcą ode mnie?” — pomyślał.

Zaczepił jednego z robotników Niemców i spytał, jak się chory ma.

— Nie wiadomo — odparł zapytany pochmurnie. — Podobno mu odjęli całą rękę.

Adler posłał po doktora, aby wyszedł do niego.

— No jak tam? — zapytał fabrykant.

— Umiera — odpowiedział lekarz.

Adler zatoczył się i rzekł podniesionym głosem:

— To nie może być! Ludzie przecież tracą obie ręce, nawet obie nogi, a jednak nie umierają...

— Opatrunek był zły, krew uszła. Przy tym chory jest przepracowany.

Odpowiedź ta rozeszła się prędko między stojącymi przy domu. Tłum znowu począł szemrać.

— Ja ale dobrze panu zapłacę! — rzekł Adler. — Niech pan tylko jego pilnuje starannie. To nie może być, ażeby mężczyzna z takiego skaleczenia umierał!

W tej chwili chory odezwał się. Lekarz pobiegł do mieszkania, a fabrykant zwrócił się z powrotem ku domowi.

— Gdyby doktor był przy fabryce, nie stałoby się nieszczęście! — zawołał ktoś z tłumu.

— Nam wszystkim zejdzie na taki koniec, jeżeli będą nas trzymali w warsztatach do północka! — krzyknął drugi.

Tu i ówdzie poczęto kląć i grozić. Ale olbrzymi tkacz włożył ręce do kieszeni i z podniesioną głową szedł przez największy tłum. Tylko oczy miał przymknięte i szyja mu zbladła. Zdawał się nie słyszeć tego, co mówią dalsi, a bliżsi rozstępowali się przed nim, instynk-

townie odgadując, że człowiek ten nie lęka się ani klątw, ani pogróżek, ani nawet otwartej napaści.

Nad wieczorem Gosławski, którego nie odstępował doktor, wezwał żonę; weszła na palcach chwiejąc się i powstrzymując łzy, które jej wzrok zasłaniały.

Ranny leżał dziwnie wynędzniały, z osłupiałymi oczyma. Przy mroku zdawało się, że twarz jego ma barwę ziemi.

— Gdzie jesteś, Magdziu? — spytał niewyraźnie, a potem mówił z długimi przerwami. — Już nic z naszego warsztatu! Nie ma ręki! Za nią i ja pójdę, bo po co bym miał darmo chleb zjadać?

Żona zapłakała.

— Czy jesteś tu, Magdziu?... Pamiętaj o dzieciach. Pieniądze są w tej szufladce, wiesz... Na mój pogrzeb... Tyle much lata mi przed oczami... Tak piszczy...

Zaczął się niespokojnie poruszać i chrapać jak człowiek, który twardo zasypia. Doktor dał

znak ręką i ktoś gwałtem wyprowadził Gosławską do mieszkania sąsiadów.

W kilka minut wszedł tam lekarz. Biedna kobieta spojrzała mu w oczy i z płaczem uklękła na ziemi.

— O panie! Dlaczego pan wyszedł od niego?... Czy z nim tak źle? Czy może...

— Bóg panią pocieszy — rzekł doktor.

Otoczyły ją kobiety i starały się uspokoić.

— Nie płaczcie, pani Gosławska. Bóg dał, Bóg wziął!... Wstańcie. Nie płaczcie, bo was dzieci usłyszą. Wdowa aż zatchnęła się.

— O, zostawcie mnie na ziemi, mnie tu lżej — szeptała. — Niech wam Bóg da wszystko dobre, tak jak mnie dał złe. Już nie ma Kazika!... O mój ty człowieku kochany, pocóżeś tyle pracował i cierpiał?... Jeszcze onegdaj mówił, że w październiku będziemy na swoim... Masz swój grób, ale nie warsztat... Och...

Aż czkawki dostała z płaczu i poczęła gryźć chustkę, byle łkań nie usłyszały dzieci. Ale gdy do mieszkania nieboszczyka weszło kilku robotników i poczęli odsuwać sprzęty, gdy zro-

zumiała, że męża jej żaden hałas już nie obudzi, jęknęła straszonym głosem i wpadła w omdlenie.

Śmierć Gosławskiego stała się źródłem zaburzeń w fabryce i kłopotów dla Adlera. We wtorek przyszła do niego deputacja prosząc, aby pozwolił wszystkim robotnikom wyjść na pogrzeb. Fabrykant uniósł się gniewem, pozwolił wysłać po kilku delegatów z każdej sali, a jednocześnie zapowiedział, że każdy inny robotnik, który poważy się opuścić warsztat, zapłaci karę.

Pomimo to większa część robotników tłumem wyszła. Adler nakazał zrobić apel, każdemu nieobecnemu strącić z płacy połowę dziennego zarobku i dwa złote za karę.

Wówczas gorętsi zaczęli namawiać kolegów do porzucenia fabryki, a jeden z palaczy bąknął, że warto by kocioł wysadzić w powietrze. W każdym innym razie Adler gawędy te puściłby mimo uszu, ale teraz wściekłość go ogarnęła. Szemrania nazwał buntem, zażądał stra-

ży z miasta, śmielszych wygnał z fabryki raz na zawsze, a palaczowi wytoczył proces.

Wobec tak stanowczych kroków robotnicy zmiękli. Przestali grozić bezrobociem, lecz natomiast żądali, ażeby Adler przyjął na powrót wygnanych, a za pieniądze z kar ażeby choć felczera ugodził do fabryki.

Adler odpowiedział na to, że zrobi tak, jak jemu się podoba i kiedy mu się podoba, a o wypędzonych ani chciał słuchać.

W następny poniedziałek było już cicho w fabryce, a pastor Böhme przyjechał do Adlera, ażeby go udobruchać i skłonić do słusznych ustępstw dla robotników. Nadspodziewanie zastał przyjaciela swego bardziej zaciętym niż kiedykolwiek. Na wszystkie przedstawienia stary tkacz odpowiedział, że jeżeli miał co zrobić, to już teraz nic nie robi. Raczej zamknie fabrykę.

— Ty ale wiesz, Marcinie — mówił Adler — że oni nas w gazetach opisali? W jakimś piśmie humorystycznym wyśmiewają mego Ferdynanda, a w dziennikach mówią, że Gosław-

ski zginął z powodu nadmiaru pracy i braku doktora!...

— Jużci, w tym jest część racji... — odparł Böhme.

— Nie ma żadnej! — krzyknął fabrykant. — Ja więcej pracowałem niż Gosławski i każdy niemiecki robotnik więcej pracuje. A doktor mógł być tak samo wyjechać z fabryki do chorego, jak wyjechał z miasteczka...

— Zostałby jednak felczer... — wtrącił pastor.

Adler na ten zarzut nic nie odpowiedział. Chodził po pokoju wielkimi krokami i sapał; w końcu zaproponował gościowi, ażeby przenieśli się z mieszkania do ogrodu.

— Johann! — krzyknął na odchodnym — wynieść flaszkę reńskiego wina do altanki.

Przyszli do altany, która stała nad sadzawką. Łagodny powiew wiatru, chłód drzew, a może i kielich dobrego wina uspokoiły Adlera. Böhme przypatrywał się olbrzymowi przez wierzch złotych okularów, a widząc w nim zmianę na lepsze umyślił przypuścić jeszcze jeden atak.

— No! — rzekł trącając jego kieliszek swoim. — Człowiek, który pije takie doskonałe wino, nie może mieć twardego serca. Daruj im karę, miły Gotliebie, przyjmij wypędzonych i zgódź doktora... Za twoje zdrowie!...

— Piję za twoje zdrowie, Marcinie, i powiadam: nic z tego!... — odparł fabrykant już bez gniewu.

Pastor potrząsnął głową.

— Hm!... — mruknął — to źle, żeś taki zacięty.

— Nie mogę moich interesów poświęcać dla sentymentu. Jeżeli dziś ustąpię im na tysiąc rubli, to oni jutro zechcą miliona.

— Przesadzasz! — odparł Böhme kwaśno. — A ja ci powiem, że jeżeli za dziesięć tysięcy rubli możesz skończyć tę historię, to daj piętnaście — i kończ!...

— Już się ale wszystko skończyło — rzekł Adler. — Hultaje poszli precz, a inni dowiedzieli się, że u mnie jest rygor. Gdybym ja był taki miękki jak ty, cała fabryka chodziłaby mi po głowie.

Pastor umilknął, podniósł oczy do góry, zamyślił się. Potem począł rzucać na czystą powierzchnię sadzawki to korek, to kawałki drzewa...

— Czego ty ale, Marcinie, rzucasz śmiecie na wodę? — spytał go Adler.

Pastor pokiwał głową i wyciągnął rękę w kierunku sadzawki, na której każdy rzucony przedmiot wytwarzał coraz szersze koła.

— Czy widzisz, Gotliebie, te fale?... — spytał fabrykanta. — Widzisz, jak one rosną i płyną coraz dalej?...

— Tak się zawsze robi — odparł Adler. — Cóż w tym dziwnego?

— Masz rację — rzekł pastor. — Taki się robi zawsze i wszędzie: na sadzawce i w naszym życiu. Kiedy złe czy dobre upadnie na świat, powstają około niego fale coraz większe i idą dalej a dalej...

— Nic nie rozumiem! — przerwał Adler pijąc flegmatycznie wino z kielicha.

— Zaraz ci wytłumaczę, tylko nie gniewaj się.

— Ja się na ciebie nigdy przecie nie gniewam — odpowiedział fabrykant.

— Otóż, widzisz, jest tak. Ty źle wychowałeś syna i rzuciłeś go w świat jak ten patyk na wodę. On narobił długów, i to jest pierwsza fala. Ty zniżyłeś płace robotnikom i oddaliłeś lekarza, a to jest druga fala. Śmierć Gosławskiego — to trzecia. Nieporządki w fabryce i opisy w gazetach — czwarta. Wypędzanie robotników, procesy — to piąta fala... A jaka będzie szósta i dziesiąta?...

— Nic mnie to nie obchodzi! — rzekł Adler. — Niech sobie twoje fale idą w świat i trapią głupich, mnie nic do tego...

Pastor rzucił korek przy brzegu sadzawki i znowu wskazał go tkaczowi.

— Patrz, Gotliebie! Niekiedy dziesiąta fala odbija się od brzegu i wraca... tam, skąd wyszła.

Starego fabrykanta zastanowiło to porównanie, bardzo zresztą jasne. Przez chwilę można

było myśleć, że się waha, że zbudziła się w nim jakaś nieokreślona obawa.

Ale trwało to tylko chwilę. Adler miał umysł zbyt realny i zbyt słabą wyobraźnię, ażeby mógł bawić się w przeczuwanie odległych wypadków. Osądził więc, że pastor bredzi po kaznodziej-sku, i odparł, śmiejąc się grubym głosem:

— Ho, ho! Mój Marcinie, toteż ja postarałem się, ażeby twoja fala nie wróciła do mnie.

— Kto wie?...

— Ani doktor nie wróci, ani podżegacze do bezrobocia, ani pieniądze za kary, ani... ani nawet Gosławski!...

— Nieszczęście może wrócić...

— Ho, ho!... nie wróci, nie!... A jeżeli wróci, rozbije się o moją pięść, o fabrykę, o towarzystwo asekuracji, o policję, a nareszcie — o mój majątek...

Późno w nocy rozeszli się przyjaciele.

„Jaki to wariat z tego Marcina! — myślał fabrykant. — On mnie chce nastraszyć!...”

A pastor jadąc swoim wózkiem do domu patrzył w niebo i z trwogą zapytał:

— Jaka tu fala powróci?...

Porównanie to przyszło mu na myśl znie-
nacka i Böhme uważał je za pewien rodzaj ob-
jawienia. Wierzył, że fala krzywdy wrócić musi,
ale kiedy i która?...

Tej nocy miał niespokojne sny. Rzucił się
i krzyczał, aż zbudziła go żona.

— Marcinie! Co ty wygadujesz?... Czyś cho-
ry?...

Böhme siadł na łóżku oblany zimnym po-
tem.

— Czy ci się śniło co straszego?... — za-
pytała żona.

— Tak, ale nie pamiętam... Czy ja co mó-
wiłem?...

— Wołałeś coś nie do rzeczy: „Fala!... wra-
ca!... wraca!...”

— Niech nas Bóg ma w swojej opiece! —
szepnął pastor czując w głębi serca wielką trwo-
gę.

VI

W oczach ludzkich złe czy dobre życiowe fakty wówczas dopiero zdają się nabierać znaczenia, gdy odbiją się w druku.

O starym Adlerze od dawna wiadano, że jest egoistą i wyzyskiwaczem, o Ferdynandzie, że jest egoistą i rozpustnikiem; ale dopiero artykuły wydrukowane z powodu śmierci Gosławskiego oburzyły przeciw nim opinię.

Teraz cała okolica poczęła zajmować się fabryką. Opowiadano o wszystkim, co się tam działo, i komentowano w odpowiedni sposób. Ludzie wiedzieli o najdrobniejszych szczegółach. Wiedzieli, ile Ferdynand narobił długów za granicą, ile obecnie tracił i co jego ojciec odbijał na zmniejszaniu zarobków, a powiększaniu pracy robotnikom. Nade wszystko jednak oburzano się z powodu śmierci Gosławskiego, który w oczach ogółu był ofiarą chciwości starego fabrykanta i rozpusty jego syna.

Wprawdzie niektórzy wspominali, że w każdym zakładzie przemysłowym i przy każdej ma-

chinie nie wyłączając młocarni i sieczkarni może trafić się nieszczęście. Ale ich łatwo pokonywano. Jak to, mówiono, więc w fabryce go dzi się trzymać robotników od świtu do północy? Więc w zakładzie posiadającym setki maszyn nie powinien być lekarz i felczer? Czy Adler jest tak ubogi, że tysiąc rubli wydanych na obsługę sanitarną zrobi mu różnicę? Wszakże dawniej był tam lekarz i felczer i dopiero gdy młody narobił długów, stary spłaca je krwią ludzi, których i bez tego wyzyskiwał.

Taki nastrój opinii niebawem dał się uczuć Ferdynandowi. Paru ludzi młodych na wyraźny rozkaz swoich rodziców zerwało z nim stosunki. Inni bardzo ochłodli i postępowali z Ferdynandem raczej przyzwoicie aniżeli serdecznie. Nawet i od tych przyjaciół, jacy mu pozostali, a pozostali nie najświetniejsi, słyszał nieraz zdania wyglądające na przycinki.

Nie dość na tym. W hotelu, w restauracji, winiarni, cukierni, które to zakłady wiele na nim zarabiały, podsuwano mu jakby umyślnie pisma, w których znajdowały się koresponden-

cje o przyczynach śmierci Gosławskiego. A gdy raz otoczony swoim sztabem zapytał subiekta, czy jest w sklepie dobre czerwone wino? — odpowiedziano mu:

— Jest, panie!... czerwoniutkie jak krew...

Może w kim innym podobne objawy zbudziłyby zastanowienie. Ktoś inny widząc powszechną niechęć może usunąłby się na jakiś czas, a nawet zmienił tryb życia i starał się oddziaływać na ojca. Ale Ferdynand nie należał do rzędu tych *innych*. On przede wszystkim nie mógł pracować, chciał hulać, nie słuchał opinii, lecz przeciwnie — drażnił ją i wyzywał. Sądząc po swoich marnych przyjaciółach był pewny, że prędzej lub później wszyscy ugną się przed nim, że nikt nie ośmieli się stawiać mu oporu. Głucha walka tocząca się między nim i ogółem gniewała go i podniecała. Widział w niej nie tylko źródła przykrości, ale i przyszłego tryumfu; był bowiem zdecydowany pierwszemu człowiekowi, który mu wejdzie w drogę zrobić awanturę. A tak czuł potrzebę awantury, cze-

goś, co by mu wstrząsnęło nerwy i wyrobiło opinię niebezpiecznego!

Był to syn ojca, który także lubował się w druzgotaniu przeszkód, chociaż na innej drodze.

Niemiłą osobą dla Ferdynanda był niejaki Zapora, obywatel ziemski i sędzia gminy. Człowiek ten, wzrostu średniego, gruby, niezręczny, miał powierzchowność surową i odpychającą. Patrzył spod oka, mówił niewiele, głosem stanowczym, nie robiąc z nikim ceremonii i nazywając ludzi i rzeczy po imieniu. Pod tą jednak skorupą ukrywał się wielki rozum i obszerna wiedza, serce pełne szlachetnych uczuć i nieugięty charakter.

Zapory nie można było przekupić uprzejmością, dowcipem, stanowiskiem ani ładnymi teoriami. Słuchał wszystkiego obojętnie, ponuro patrząc na mówcę. Ale rachował tylko czyny i starał się wniknąć w głąb człowieka. W kim poznał prawość, ten stawał się jego przyjacielem w dobrej i złej doli. Ale ludźmi złymi,

pozbawionymi charakteru, próżnującymi, hulakami gardził i nie starał się tego ukrywać.

Młody Adler spotykał niekiedy chmurną osobę sędziego, ale nie rozmawiał z nim ani razu — nie miał sposobności. Zapora ze swej strony nie szukał go i nie unikał, nie zajmował się nim, a w rozmowie z przyjaciółmi nazywał go „błaznem”.

Ludzie żyjący w bliższych stosunkach z Zaporą wiedzieli, że słówko: „ten błazen”, oznaczało młodego Adlera. Doświadczeńsi przewidywali, że wcześniej lub później Zapora i Ferdynand w ciasnej sferze małomiasteczkowego życia zetknąć się muszą i że młody hulaka usłyszy niejedną gorzką prawdę.

Jak zwykle w podobnych wypadkach, Ferdynand podejrzewał, że Zapora nie lubi go; z robieniem więc znajomości nie spieszył się. Zresztą posądzał on Zaporę o pisanie korespondencji o Gosławskim i obiecywał sobie, że przy okazji odpłaci mu pięknym za nadobne.

W początkach września był w miasteczku jarmark. Zjechało się dużo szlachty z kilku po-

wiatów, przyjechał i Zapora, który miał w mieście kancelarię. Załatwił najpilniejsze sprawy urzędowe, kupił, co mu było potrzeba, i około drugiej w południe poszedł do restauracji na obiad.

W największej sali znalazł tłum znajomych. Wszystkie stoły ustawione w jeden szereg nakryto i ozdobiono mnóstwem butelek wina, przeważnie szampańskiego. Przygotowania zdawały się zapowiadać niezwykłą pijatykę.

— Cóż to znaczy? — spytał Zapora. — Czy kto zamówił obiad?

Otoczyli go znajomi, a między nimi kilku przyjaciół Adlera.

— Wyobraź sobie — rzekł ktoś ze śmiechem — że młody Adler zakupił wszystkie obiady i każdego, kto tu wejdzie, zaprasza na bankiet.

— Spodziewam się, że i sędzia nie odmówi nam swego towarzystwa — odezwał się jeden z przyjaciół Adlera.

Zapora spojrział na niego z boku.

— Odmówię! — odparł.

Młody człowiek nie odznaczający się nadmiarem taktu począł nalegać.

— Dlaczegoż to, szanowny sędzio?

— Dlatego, że na obiad wydany za pieniądze starego Adlera mógłby mnie prosić tylko stary Adler, a gdyby on mnie zaprosił — także bym odmówił.

Do rozmowy wmieszał się drugi przyjaciel Ferdynanda.

— Czy sędzia masz co do zarzucenia Adlerowi?

— Niewiele. Stary jest eksploatorem⁴⁵, młody próżniakiem, a obaj przynoszą nam więcej szkody aniżeli pożytku.

Sumienie publiczne pierwszy raz odezwało się tak wyraźnie przez usta człowieka mającego cywilną odwagę. Przyjaciele Adlera umilkli, inni goście byli zakłopotani, kilku wrażliwszych wzięło kapelusze z zamiarem opuszczenia sali.

W tej chwili wbiegł młody Adler z innym swoim przyjacielem. Przy pierwszym kroku spo-

⁴⁵*eksploatator* — właśc. eksploatator, wyzyskiwacz. [przypis edytorski]

strzegł on oryginalną figurę sędziego i nie wiedząc o tym, co się stało, szepnął do towarzysza:

— Zapoznaj mnie z nim!... Podobno dobrze pije?

— Cudownie! — odparł towarzysz i nie zwlekając poskoczył do Zapory.

— Cóż to za szczęśliwy traf! — rzekł. — Adler w tej knajpie wyprawia dziś miastu ucztę, sędzia zatem wpadłeś w sidła, z których go nie wypuścimy. Ale panowie jeszcze nie znają się...

W sali zrobiła się cisza. Wszyscy patrzyli.

— Pan Adler!... Pan Zapora!

— Dawno już pragnąłem poznać sędziego — rzekł Ferdynand i wyciągnął rękę.

— Miło mi! — odparł Zapora i swoją rękę cofnął.

Niektórzy z obecnych poczęli sznurować usta. Ferdynand pobladł; przez chwilę stał zmieszany, ale odzyskał przytomność i nagle zmienił grę.

— Pragnąłem poznać sędziego — mówił dalej — ażeby podziękować mu za... korespondencję o moim ojcu do pism...

Zapora utopił w nim spojrzenie.

— O pańskim ojcu — rzekł spokojnie — pisałem jedną tylko korespondencję, mianowicie: do wójta gminy, ażeby go wezwał na sprawę.

Adler zakipiał z gniewu.

— Ach! Więc w takim razie pisywałeś pan tylko o mnie do pism humorystycznych?

Zapora ani na chwilę nie stracił zimnej krwi. Ścisnął w rękę laskę i odparł:

— Mylisz się pan. Korespondencje do pism humorystycznych zostawiam młodym ludziom bez zajęcia, którzy chcą zostać sławni w jakimkolwiek sposób.

Adler już nie panował nad sobą.

— Pan mnie obrażasz! — krzyknął.

— Przeciwnie. Nawet nie zaprzeczę ostatniemu twierdzeniu, ażeby nie obrażać pana.

Zdawało się, że rozdrażniony młodzieniec rzuci się na Zaporę.

— Pan mi dasz satysfakcję⁴⁶! — krzyczał Adler.

— Z przyjemnością.

— Ale natychmiast!

— No najprzód muszę zjeść obiad, bom głodny. Zresztą za godzinę będę u siebie na pańskie usługi — odpowiedział Zapora chłodno.

Potem kiwnął głową paru znajomym i z wolna opuścił salę.

Uczta urządzona przez Adlera odbyła się dosyć kwaśno.

Wielu z gości wyszło przed obiadem, inni udawali wesołość. Ale za to Ferdynand miał doskonały humor. Pierwszy kieliszek wina uspokoił go, a dalsze podnieciły. Był kontent, że ma pojedynek, jeszcze z Zaporą! — i ani wątpił o tryumfie.

— Dam mu lekcję strzelania — szepnął do jednego z sekundantów — i basta!...

A w duchu pomyślał:

⁴⁶satysfakcja — zadośćuczynienie, tu: przyjęcie wyzwania na pojedynek. [przypis edytorski]

„To mi lepiej wyreguluje stosunki anizeli wszystkie obiady”.

Doświadczeńsi awanturnicy, jakich nie brakło w sali, patrząc na młodego siłacza przyznawali mu charakter i fantazję.

— Dzięki niebu — mówił jeden z nich — i nasz partykularz będzie miał głośną sprawę.

— Żal mi tylko... — rzekł inny.

— Czego?

— Tych butelek, które padną trupem...

— Myślę, że im sprawimy świetny pogrzeb.

— Byle nie któremu z przeciwników.

— Wątpię. A jakież są warunki?

— Pistolety i walka do pierwszej krwi.

— Aj, do diabła! Czyżże to pomysł?

— Adlera.

— Czy on taki pewny siebie?

— Ogromnie strzela!...

W ten sposób rozmawiali przyjaciele Ferdynanda, ludzie obeznani z pojedynkami. Przy końcu obiadu dowiedziano się, że Zapora przyjął wszelkie warunki i że walka odbędzie się najajutrz rano.

— Panowie! — rzekł na zakończenie Adler — proszę was dziś na stypę. Będziemy pili całą noc.

— Czy to praktycznie? — spytał ktoś.

— Ja tak zawsze robię przed *kontredansem*⁴⁷, wprowadzie... dopiero czwarty raz! — odpowiedział Ferdynand.

W innej restauracji zebrali się ludzie poważniejsi, przyjaciele Zapory; i ci także rozprawiali o zajściu.

— Fatalność! — mówił jeden — ażeby taki poważny człowiek musiał strzelać się z chłystkiem.

— Co prawda, to Zapora niepotrzebnie włożył w ten pasztet.

— Włazł przypadkiem, a cofnąć się już nie mógł.

— Dziwna historia — odezwał się milczący dotąd siwy szlachcic — że świszczypałka i powiem nawet, ladaco, jak Adler, nie tylko wchodzi w towarzystwa ludzi przyzwoitych, ale

⁴⁷*kontredans* — rodzaj tradycyjnego tańca z figurami; tu żartob.: pojedynek.
[przypis edytorski]

nawet ma sposobność zrobić awanturkę takiemu Zaporze. Dawniej nie ścierpiano by między ludźmi podobnej osobistości, choćby ze względu na postępowanie jego ojca.

— Toteż dlatego, panie radco, że opinia jest u nas trochę za miękka, ludzie uczciwi i silniejszego charakteru muszą nadstawiać głowy. Mnie po prostu żal Zapory.

— Czy on nie umie strzelać?

— Strzela jako tako, ale tamten jest artystą.

— Za pozwoleniem! — krzyknął młody blondyn. — Ponieważ panowie weszliście na moje terytorium, więc mam honor przypomnieć, że nie zawsze ten ginie, kto źle strzela. Pamiętam, jakem był sekundantem Stasia w pojedynku z Edziem, Staś nie umiał trzymać pistoletu, a przecież...

— No, ale w każdym razie bezpieczniej jest dobrze strzelać.

— Naturalnie! Naturalnie! — pochwycił młody blondyn. — Ja, kiedy miałem pojedy-

nek z jednym austriackim kapitanem, to zapowiedziałem mu, że dostanie kulę...

Tu szepnął coś do ucha staremu szlachcicowi.

— I trafiłeś?

— Jak w tarczę, panie radco, jak w tarczę.

— A może to źle, że Zapora jest mańkut?

— odezwał się ktoś inny.

— Przy pistoletach nic nie szkodzi — mówił blondyn — a przy pałaszach nawet dużo pomaga. Ja, kiedym się bił na rapiery⁴⁸ z jednym mańkudem, to mnie tak trzepnął w czoło, że doktorzy przez dwie godziny uważali mnie za umarłego... O, tu jest blizna.

— Bój się Boga! Przez dwie?

— No, może przez półtorej.

— Półtorej godziny nie biło ci serce?

— No, może przez pół godziny. Tego przecież nie pamiętam... leżałem jak trup. Jeszcze mi wtedy mój służący, Niemiec, wyciągnął sakiewkę z lewej kieszeni.

— Skądże wiesz, że on?

⁴⁸*rapiery* — broń biała o długiej obosiecznej klindze. [przypis edytorski]

— Jakże, skąd? Złapałem hultaja na gorącym uczynku. Ja nie jestem skory do posądzania kogoś na wiatr!

Około godziny szóstej wieczorem Ferdynand wrócił z restauracji do swego numeru. Chciał podrzemać trochę między pijatyką dzienną i nocną, ale nie mógł zasnąć. Począł chodzić po pokoju i wtedy spostrzegł, że naprzeciw jego okien leżą okna kancelarii Zapory.

Ulica była wąska, kancelaria znajdowała się na dole, a numer, w którym stał, na piętrze. Ferdynand jak na dłoni miał przed sobą mieszkanie Zapory i począł je obserwować.

Sędzia był tam i w tej chwili rozmawiał z ławnikiem i pisarzem pokazując im jakieś papiery. Trwało to przez pewien czas. Potem ławnik pożegnał Zaporeę, pisarz wyszedł do siebie, a sędzia został sam.

Ustawił lampę na biurku, zapalił cygaro i zaczął pisać na arkuszu papieru. Najprzód dość długi tytuł, potem dalszy ciąg, szybko i równo. Adler był pewny, że sędzia na wszelki wypadek pisze testament.

Pomimo młodego wieku pojedynkował się już kilka razy. Walki te uważał za pewien rodzaj niebezpiecznej zabawy. Teraz przecie uczuł, że pojedynki może być posępną uroczystością, do której wypada się przygotować.

W jaki sposób?

Oto pisząc testament!

Położył się na kanapie.

Na korytarzu hotelowym słychać było co chwila głosy dzwonków i bieganinę służby. Ferdynand począł marzyć.

Kiedy był jeszcze małym chłopcem (działo się to w początkach rozwoju fabryki), zauważył w budynku maszyny parowej niewielkie drzwi przybite gwoździem. Drzwi te zaciekawiały go i niepokoiły. Pewnego dnia zdobył się jednak na odwagę, odchylił zgięty gwóźdź, drzwi odskoczyły — i ujrzał za nimi kilka miedzianych rur, zwiniętą linę i miotłę.

Wypadek ten utkwiał mu w pamięci i przypominał się przy każdym pojedynku. Ile razy świadkowie postawili go już na mecie, gdy ujrzał wymierzoną lufę przeciwnika i uczuł swój

palec na cynglu, przychodziły mu na myśl owe niepokojące drzwi i zgięty gwóźdź. Wtedy przyciskał cyngiel jak niegdyś gwóźdź i — sprawa się kończyła. Za tajemniczymi drzwiami losu, jakie czasem otwiera kula, Ferdynand nie spotykał nic osobliwego: co najwyżej rannego przeciwnika albo — kilkanaście butelek szampana wypitych w dobrym towarzystwie.

Takie też to i bywały owe pojedynki. Strzelało się o śpiewaczkę, o zakład na wyścigach, o potrącenie na ulicy...

Ale jutrzejszy pojedynek miał być różny od poprzednich. Tu występował do walki z jednej strony on, syn nielubianego ojca, a z drugiej strony człowiek szanowny, niejako reprezentant obrażonego ogółu. Za jego przeciwnikiem stali wszyscy ci, którzy mieli odwagę unikać Adlera, wszyscy robotnicy i prawie wszyscy oficjaliści fabryki. A za nim kto?

Nie ojciec, bo ten nie pozwoliłby mu strzelać się. Nie przyjaciele, którzy z nim pili, ponieważ ci zdawali się zakłopotani i czekali tylko

na możliwość opuszczenia go przy lada sposobności.

Któż więc jest z nim? — nikt. A przeciw niemu cały tłum. Jeżeli rani Zaporę, da powód wrogom do nowych krzyków. Jeżeli sam zostanie raniony, powiedzą, że jest to kara boska na niego i na ojca.

Co to znaczy? Jakim sposobem znalazł się sam przeciw wszystkim, on, który chciał tylko hulać ze wszystkimi! Skąd między zbiorowiskiem ludzi delikatnych, miękkich, bojaźliwych, pobłażliwych, zresztą w najgorszym razie odwracających się od niego, wziął się człowiek szorstki, który mu w oczy mówił imperyjnencje? Jeżeli on istotnie był zły, to dlaczego inni go nie ostrzegli? Dlaczego błędy młodości mają kończyć się tragicznie?

Jak niegdyś tak i dziś, ale już w wigilię pojedynku, Ferdynand przypomniał sobie owe drzwi w fabryce ojca, lecz tym razem wyglądały one inaczej. Zdawało mu się, że gdyby je otworzył, zobaczyłby, zamiast rur, liny i miotły — trumnę z napisem: „Mieszkanie dla osoby pojedyn-

czej”. Trumnę z taką kartką widział raz przed sklepem stolarza w Warszawie.

— Mieszkanie dla osoby pojedynczej! — szepnął Ferdynand. — Zabawny stolarz!

Kanapa hotelowa nie odznaczała się miękkością. Ferdynand trzymał głowę na krawędzi i przypomniawszy sobie swój powozik, którym po pijanemu wracał niekiedy do domu. Powozik wygodny dla siedzącego, dla leżącego był tak niewygodny jak ta kanapa. Zdawało mu się, że jedzie nim, że czuje lekkie drganie, słyszy turkot, tętent koni...

Jest już północ; szosę oświeca księżyc stojący wysoko. Powozik drży i turkocze, nagle — staje.

„Co to znaczy?” — pyta Ferdynand w marzeniu.

„Gosławskiemu urwało rękę” — odpowiada mu jakiś cichy głos.

„Czy temu, co ma ładną żonę?...” — pyta znowu Ferdynand jak wówczas na jawie.

„Widzisz, jaki mądry!” — odpowiada mu ten sam głos.

„Mądry? Co to jest mądrość?...” — mówi do siebie Ferdynand przewracając się na kaniapie, jak gdyby nie chciał patrzeć na widziadła.

Ale widziadła nie znikają. I widzi, jak wówczas na jawie, gromadę ludzi otaczających kogoś, co leżał na noszach. Widzi jego rękę sterzącą nad piersiami i owiniętą w gałgany, na których czernią się wielkie pląty krwi. Przeciera oczy... Na próżno! Ludzie stoją i nosze stoją, a wszystko jest tak wyraźne, że na tle szosy wi-
dać nawet skrócone cienie przedmiotów i osób.

— Jak ten człowiek cierpi — szepnął Ferdynand. — I musi umrzeć! — dodał. — Ach! umrzeć.

Zdawało mu się, że on jest człowiekiem na noszach, ze zdruzgotaną ręką, bolejącym, pozbawionym nadziei, że to jego wybladłe ciało oświecła ten straszny księżyc.

Skąd podobne myśli? Od kiedyż to szampan nasuwa tak smutne wizje?

Nagle doświadczył nieznanego dotychczas wrażenia. Czuł, że coś go nęka, obezwładnia,

szarpie mu serce, świdruje w mózgu. Czuł, że chce krzyczeć, uciekać, schować się gdzieś.

Ferdynand skoczył na równe nogi. W pokoju był już zmrok.

— Do diabła! Ależ ja się boję!... — szepnął. — Ja się boję?... Ja?...

Z trudnością znalazł zapałki, rozsypał je, podniósł jedną, potarł — zgasła; drugą zapalił, a od niej świecę.

Spojrzał w lustro. Miał twarz szarą, oczy podkrojone, źrenice bardzo rozszerzone.

— Ja się boję? — pytał.

Świeca trzęsła mu się w ręku.

— Jeżeli jutro pistolet będzie mi tak skakał, to dobrze wyjdę! — rzekł.

Spojrzał przez okno. Tam w mieszkaniu na dole, po drugiej stronie ulicy, siedział Zapora przy biurku i pisał wciąż — równo i spokojnie.

Widok ten otrzeźwił Ferdynanda. Dzielny temperament wziął górę nad przywidzeniami.

„Pisz sobie, kochanku — pomyślał patrząc na sędziego — a ja ci postawię kropkę!”

Na korytarzu rozległo się stąpanie. Zapukano do drzwi.

— Wstawaj, Ferdynandzie, biba gotowa!
— zawołał ktoś.

Usłyszawszy znajomy głos, Ferdynand był już zupełnie sobą. Gdyby mu przyszło skoczyć w przepaść najeżoną bagnietami, nie zmrużyłby oka. Czuł znowu siłę lwa i tę szaloną odwagę młodości, dla której nie ma niebezpieczeństw, nie ma granic.

Kiedy otworzył drzwi i zobaczył swoich towarzyszy, wybuchnął serdecznym śmiechem. Śmiał się z chwilowego rozdrażnienia, z przywidzeń i z tego, że mógł pytać siebie: „Czy ja się boję?”

Nie — on się niczego nie boi, nawet tego, ażeby niebieskie sklepienie nie upadło mu na głowę. Jeżeli nie geniuszem, którego bynajmniej nie posiadał, to odwagą był on prawdziwym orłem, który siada na piorunach jak na

gałęziach i śmiało patrzy w boskie oblicze samego Jowisza⁴⁹.

Do wschodu słońca biesiadowali towarzysze Adlera pod jego przywództwem. W restauracji okna drżały od śmiechów i wiwatów, a po wina trzeba było chodzić do obcych sklepów.

Około godziny szóstej wyjechały z miasta cztery powozy.

VII

Od kilku dni do składów fabrycznych nadchodziły wielkie transporty bawełny. Adler w przewidywaniu podwyżki cen całą gotówkę obrócił na zakup tego produktu. Do fabryki sprowadzono obecnie ledwie cząstkę nabytku, którego ogromna ilość znajdowała się jeszcze w składach angielskich i niemieckich.

Rachuby tkacza nie zawiodły go. Już w kilka tygodni po zawarciu umów o dostawę cena bawełny podniosła się i od tej pory podnosiła się wciąż. Zapytywano go, czy by nie odstąpił produktu o dwa procent wyżej — lecz

⁴⁹Jowisz (mit.rzym.) — władca bogów, odpowiednik gr. Zeusa. [przypis edytorski]

Adler słuchać o tym nie chciał. Zacierał tylko ręce z zadowolenia. Dawno nie pamiętał tak korzystnej operacji i dziś widział, że nim przerobi surowy towar, majątek jego powiększy się przynajmniej o trzecią część.

„Wkrótce skończę z fabryką!” — mówił do siebie.

Dziwna rzecz. Od chwili, w której zobaczył na odległym widnokręgu kres swojej kilkudziesięcioletniej pracy, uczuł nie znane dotychczas osłabienie. Fabryka poczyniała mu się przykrzyć. Chciał gdzieś wyjechać; tęsknił. Nie raz prosił syna, ażeby tak ciągle nie przebywał za domem, ale raczej siedział z ojcem i opowiadał mu o swoich podróżach. Coraz częściej wymykał się do pastora Böhme i tam całymi godzinami rozprawiał o czekającym go wypożyczynku.

— Jestem znużony — mówił. — Śmierć Gosławskiego i fabryczne awantury stoją mi już kością w gardle.

Zamyślił się i nagle dodał:

— Czy ty uwierzysz ale, mój Marcinie, że niekiedy, szczególnie z rana, gdy o człowieka kłóci się praca z łóżkiem, zazdroszczę ci twego trybu życia. I nieraz mówię sobie: czy nie lepiej być pastorem, któremu ludzie nie klną, syn nie traci pieniędzy i nie wymyślają gazety?... Ale to głupstwo! Widać, że się zestarzałem.

I jak niedawno Gosławski, na którego grobie nie osiadła jeszcze ziemia, liczył dni pobytu w fabryce, tak dziś stary tkacz rachował miesiące.

— Do lipca roku przyszłego powinienem wyrobić wszystką bawełnę. W czerwcu trzeba ogłosić sprzedaż fabryki. Najdalej w sierpniu wypłacą mi, bo w kredyty bawić się nie myślę, a we wrześniu... No! Ja nic nie powiem Ferdynandowi do ostatniej chwili. Dopiero chłopak ucieszy się!... Swoją drogą pieniądze oddam do banków i żyć będę tylko z procentu, bo inaczej ten hultaj straciłby wszystko w parę lat, a ja musiałbym jeszcze zostać gdzie obermajstrem... Ha, ha!

Niekiedy śniła mu się wielka góra sięgająca prawie do nieba, z której buchał ogień i na którą on wdrapywał się ze zwykłą mu zaciętością. Czasami marzył, że jedzie balonem coraz wyżej i wyżej, aż tam — skąd gwiazdy zdają się być większe. To znowu widział tłumy tancerzy strojnych i pięknych, przebiegających bogate salony, które ciągnęły się nieskończenie daleko. Ale wszędzie był sam, Ferdynanda nie spostrzegął przy sobie.

Wtedy myślał:

„Ten hultaj tak odzwyczaił mnie od swego towarzystwa, że mi się nawet nie śni. Gdybyśmy jeszcze kilka lat pomieszkali w tej okolicy, zapomniałbym, jak wygląda”.

Mimo to syna swego coraz mocniej kochał i jedynie dlatego pozwalał mu szaleć za domem i nie śmiał dłużej zatrzymywać przy sobie, że — go bardzo kochał.

— Co ja mam chłopca przykuwać do fabryki, która obmierzła mnie samemu? Co go może obchodzić, że ja za nim tęsknię? On przecież młody, a ja — stary dziad! On musi bawić

się z młodymi, a ja mam także swoją zabawę — pracę.

Na drugi dzień po jarmarku w mieście stary tkacz obchodził jak zwykle wszystkie warsztaty i biura. Kilkudziesięciu robotników było na kiermaszu, więc w fabryce opowiadano sobie o figlu pana Ferdynanda, wiele przesadzając. Mówiono, że panicz zakupił obiady we wszystkich restauracjach i że każdy szlachcic chcący co zjeść albo wypić musiał pierwszej kłaniać się młodemu panu.

Adler z początku śmiał się z figla, ale później obliczywszy naprędce, ile podobna zabawa mogła kosztować, spochmurniał.

— Hultaj Ferdynand — rzekł do buchaltera — wszystko nam ale strwoni, co zyskamy na podwyżce cen bawełny. Wielki kłopot mam z tym wariatem!

Na podwórzu stały fury z bawełną, którą najęci robotnicy przenosili do składów. Adler przypatrywał się robocie, obszedł składy, surowo nakazując, aby nikt nie ważył się palić papierosów, i powrócił do kantoru.

Przy bramie dwie kobiety żywo rozmawiały ze szwajcarem⁵⁰, lecz zobaczywszy Adlera uciekły.

Tkacz nie zwrócił na to uwagi.

Z kantoru wybiegł urzędnik, jakiś zmieszany. W kasie — buchalter, jego pomocnik i płatnik, zbici w kąt, naradzali się nad czymś z wyraźnymi oznakami wzburzenia. Ale na widok pryncypała rzucili się szybko do swych biurerek pochylając twarze ku papierom.

Adlerowi i to nie wydało się dziwne. Wczoraj był jarmark, więc pewnie urzędnicy opowiadają sobie jakieś plotki.

W salonie dla interesantów Adler spotkał się oko w oko z nieznanym mężczyzną. Gość był zniecierpliwiony i niespokojny. Chodził prędko po sali i rzucał rękoma. Spostrzegłszy olbrzymiego fabrykanta, nagle stanął i zapytał zmieszany:

— Wszak pan Adler?

— Tak! — odparł tkacz. — Pan ma do mnie interes?

⁵⁰szwajcar — odźwierny. [przypis edytorski]

Gość przez długą chwilę nic nie odpowiadał, tylko mu usta lekko drżały.

Fabrykant pilnie mu się przypatrywał chcąc odgadnąć, kim jest i czego chce. Nie był to wcale kandydat na posadę fabryczną. Wyglądał raczej na bogatego panicza.

— Mam do pana ważny interes — rzekł gość.

— Może pan chcesz, ażebyśmy przeszli do mego domu? — spytał Adler domyślając się, że z tak wzburzonym człowiekiem lepiej będzie nie rozmawiać przy urzędnikach: może ma jaką pretensję?

Gość zawahał się, ale wnet odparł:

— Ha!... to pójdźmy do domu... Ja już tam byłem...

— Pan mnie szukał?

— Tak... Bo... widzi pan, panie Adler, my... przywieźliśmy Ferdynanda...

Myśl o jakimkolwiek nieszczęściu była tak daleka od fabrykanta, że prawie wesoło spytał:

— Czy Ferdynand tak się spił na jarmarku, że go aż odwieźć było potrzeba?

— On jest ranny — odparł gość.

Byli już na dziedzińcu przed domem. Adler zatrzymał się nagle.

— Kto ranny? — zapytał.

— Ferdynand.

Starzec rozłożył ręce.

— Połamał nogi, kark skręcił? Co to znaczy?

— Ranny jest... kulą.

— Kulą? On? Jakim sposobem?

— Miał pojedynek.

Czerwona twarz fabrykanta miała teraz kolor cegły. Byli na ganku. Adler rzucił w sieni kapelusz i wpadł w otwarte drzwi. Nawet nie spytał, przez kogo syn został raniony. Cóż go to obchodziło?

W pierwszym pokoju zobaczył służących i jeszcze jednego nieznanego mężczyznę. Fabrykant odepchnął ich i stanął przed szezlon-
giem, na którym leżał Ferdynand.

Ranny nie miał na sobie surduta ani kamizelki. Twarz jego była tak strasznie zmieniona,

że tkacz w pierwszej chwili nie mógł poznać własnego syna. W głowach siedział doktor.

Adler patrzył... patrzył... potem upadł na niezajęte krzesło i oparłszy potężne dłonie na kolanach rzekł stłumionym głosem:

— Co ty wyrabiasz, łajdaku?

Ferdynand spojrział na niego z nieopisanym smutkiem. Ujął ojcowską rękę i — pierwszy raz od bardzo dawna — pocałował ją.

Adler wstrząsnął się. Oniemiał.

Ferdynand począł mówić cicho, z przerwami:

— Musiałem, papo... musiałem!... Wszyscy na nas krzyczeli... szlachta, kelnerzy, gazety. Mówili, że ja tracę pieniądze, a ty obdzierasz robotników... Niedługo... pluliby nam w oczy...

— Nie męcz się pan! — szepnął doktor.

Starzec otworzył duże usta, pochylił się nad synem, patrzył, słuchał. Postawa jego wyrażała najwyższe zdziwienie, żal.

— Ratuj mnie, papo! — rzekł Ferdynand podniesionym głosem. — Ja obiecałem doktorowi dziesięć tysięcy...

Chmura niezadowolenia przemknęła po twarzy Adlera.

— Dlaczego aż tyle? — zapytał machinalnie.

— Bo ja... ginę... Czuję, że ginę!...

Starzec zerwał się.

— Tyś wariat! — zawołał. — Zrobiłeś głupstwo, łajdactwo!... No, ale jeszcze nie umierasz...

— Umieram! — jęknął ranny.

Adler klasnął w ręce.

— Oszalał! Jak Boga kocham, oszalał!

Zaczął biegać po pokoju, wyciągać palce, aż trzeszczały, i nagle stając przed doktorem zawołał:

— No, powiedz mu pan, że on jest głupi... Mówi o śmierci i myśli, że ja mu dam umrzeć!... Tobie umrzeć?... Obiecałeś doktorowi dziesięć tysięcy? To za mało. Doktorze — mówił starzec gorączkowo — ja za mego syna

dam sto tysięcy rubli, jeżeli jest chociaż cień niebezpieczeństwa. Bo za to tylko, że on głupi, ja płacić nie będę. Jakież jego stan?

— Nic wprawdzie niebezpiecznego — mówił doktor — zawsze jednak kuracja musi być staranna.

— No, tak! — przerwał mu Adler. — Czy słyszałeś, Ferdynand, co powiedział doktor?... A jeżeliś słyszał, więc mnie i sobie głowy nie zawracaj... Johann! Wysłać depesze do Warszawy, niech zjadą się najlepsi doktorzy, ekstrakugiem⁵¹. Jeżeli potrzeba, posłać do Berlina i Wiednia, wreszcie do Paryża. Pan doktor niech da adresy najslawniejszych. Ja zapłacę... ja mam czym płacić!

— O, jak mi straszno! — jęknął Ferdynand rzucając się na szezlongu.

Ojciec przypadł do niego.

— Uspokój się pan! — mówił lekarz.

— Papo! — krzyknął ranny. — Papo mój, ja już ciebie nie widzę...

⁵¹*ekstracug* (niem. *Zug*: pociąg) — pociąg ekspresowy, jadący poza rozkładem jazdy. [przypis edytorski]

Na ustach pokazała mu się krwawa piana. W oczach i na twarzy malowała się trwoga i rozpacz.

— Powietrza! — zawołał.

Zerwał się z szeszlona i wystawiając ręce naprzód, jak ślepy, pobiegł do okna. Wtem ręce zwisły mu. Zwrócił się znowu, zatoczył do szeszlona i upadł nań uderzając głową o ścianę.

Jeszcze raz zwrócił się do ojca, szeroko i z trudem roztworzył oczy i dwie łzy zwisły mu na powiekach.

Adler, cały drżący, obezwładniony, usiadł przy nim i swoimi wielkimi rękoma otarł mu łzy i pianę z ust.

— Ferdynandzie! Ferdynandzie! — szeptał. — uspokój się. Będiesz żył; ja oddam cały majątek.

Wtem uczuł, że syn ciąży mu w objęciach i upada.

— Doktorze! Ocuć go, on mdleje!

— Panie Adler, wyjdź stąd! — rzekł doktor.

— Dlaczego mam wyjść? Ja nie mogę wyjść, kiedy syn potrzebuje mojej pomocy...

— Już nie potrzebuje — odparł cicho lekarz.

Adler patrzył na syna, trząsał go, szczypał. Na bandażu okrywającym piersi ukazała się duża plama krwi. Ferdynand był trupem.

Starca szłał ogarnął. Zerwał się z szezlonga, kopnął nogą krzesło, potrącił lekarza i wybiegł na dziedziniec, potem na szosę.

Na szosie spotkał jednego z furmanów, którzy przywieźli bawełnę. Schwycił go za ramiona i krzyknął:

— Czy ty wiesz?... Syn mój umarł!

Rzucił człowieka na szosę i pobiegł do budki szwajcara.

— Hej! zwołać mi przed dom wszystkich ludzi, niech przyjdą... Natychmiast!

Tym samym pędem wrócił do pokoju, gdzie leżał zmarły syn, usiadł naprzeciw niego i patrzył, patrzył...

Ocknął się dopiero w jakie pół godziny.

— Dlaczego tak cicho? — zapytał. — Czy się maszyna zepsuła?

— Pan kazał zwołać robotników, więc maszynę zatrzymali i wszyscy czekają na dziedzińcu — odparł Johann.

— Po co? Na co? Niech idą do roboty! Ja nie chcę, żeby było tak cicho. Puścić maszynę i wszystkie warsztaty w ruch. Niech tkają, niech przędą, niech się kręcą, niech krzyczą!...

Schwycił się oburącz za głowę.

— Mój syn... syn... syn! — szeptał.

Od dawna już wysłano po pastora, który w tej chwili przyjechał i wbiegł z płaczem do pokoju.

— Gotliebie! — zawołał — ciężko nas dotknął Bóg, ale ufajmy Jego miłosierdziu...

Adler przeciągle spojrział na niego i rzekł wskazując na zwłoki syna:

— Patrz, Marcinie! To ja jestem. To nie jego, to mój trup. Gdybym nie wierzył w to, chybabym oszalał!... — Patrz — mówił dalej — to leży moja fabryka, mój majątek, moja nadzieja. Ale on żyje! Mów mi to, i wy wszy-

scy... To mnie uspokoi... O serce, serce moje!
Jak mnie boli!

Fala krzywdy wróciła.

Gdy doktor i sekundanci wyjechali, pastor począł namawiać Adlera, ażeby wyszedł. Usłuchał go i wyszli do ogrodu. Tam stary fabrykant stanął na jednym wzgórku, rozejrzał się i począł mówić:

— Gdybym mógł objąć...

Rozkrzyżował ręce.

— Gdybym mógł objąć wszystko, zdusić, rzucić na ziemię i skopać nogami, o tak, o!... Gdybym mógł! gdybym mógł!... Marcinie, ty nie wiesz, co się dzieje w mojej głowie i jak mnie serce boli!...

Upadł na ławkę i ciągnął dalej:

— Tam leży martwy syn mój, a ja — nic mu poradzić nie mogę. I wiesz, co ci powiem? Zdaje mi się, że za rok, za miesiąc, a może za tydzień doktorzy wynajdą sposób budzenia i leczenia takich rannych. Ale cóż, kiedy mnie nic z tego, choć za taki sposób oddałbym cały majątek i siebie!... Sprzedałbym siebie jak psa, jak

sztukę perkalu. A jednak — nic zrobić nie mogę!

Pastor wziął go za rękę.

— Gotliebie, dawno ty się modliłeś?

— Czy ja wiem? Może trzydzieści, a może czterdzieści lat.

— Pamiętasz pacierz?

— Pamiętam, że... miałem syna.

— Syn twój jest u Boga.

Adler spuścił głowę.

— Jaki ten wasz Bóg drapieżny!...

— Nie bluźnij! Jeszcze spotkasz się z Nim.

— Kiedy?

— Kiedy wybije twoja godzina.

Starzec zamyślił się, potem wydobył *repetier*⁵² z kieszeni, nacisnął sprężynę, przysłuchał się dźwiękowi zegarka i rzekł:

— Moja godzina już wybiła, a ty, Marcinie, wróć do domu. Żona czeka cię, córka, kościół. Ciesz się nimi, odprawiaj swoje nabożeństwa, pij reńskie wino, a mnie — zo-

⁵²*repetier* (daw.; łac. *repetitio*: powtórzenie) — zegarek kieszonkowy za naciśnięciem wydzwaniający czas. [przypis edytorski]

staw... Zdaje mi się, że czekam na pogrzeb całego świata i tylko słucham, rychło uderzą w jakiś wielki dzwon, od którego głowa mi pęknie. Zginie cały świat i ja w nim... Wróć do domu, Marcinie! Mnie przyjaciel niepotrzebny, a jeszcze mniej — pastor! Twoja wylękniona twarz nudzi mnie i drażni. Zresztą — ja obejdem się bez niańki; sam przecie wypiaستowałem mego syna.

— Gotliebie, uspokój się — pomódl!

Adler zerwał się z ławki.

— Idź do licha! — krzyknął.

Potem szybko pobiegł w głąb ogrodu i przez furtkę wymknął się na pole.

Pastor nie wiedział, co począć. Wrócił do pałacu pełen złych przeczuc. Chciał wysłać kogo, aby z daleka pilnował Adlera, ale służba lękała się swego pana.

Pastor wezwał do siebie buchaltera i opowiedział mu, że jego pryncypał niezupełnie przytomny wybiegł w pole.

— Ech! To nic — odparł buchalter. — Zmęczy się i wróci spokojniejszy. On tak zawsze robił, jeżeli się czym bardzo zmartwił.

Upłynęło kilka godzin, nadszedł wieczór, ale starego tkacza nie było widać.

Nigdy jeszcze nie rozprawiano z takim zajęciem we wszystkich warsztatach, jak dziś, od chwili przywiezienia rannego Adlera i jego śmierci. Nieszczęście Gosławskiego poruszyło wprawdzie całą fabrykę, przypomniało ludziom ich krzywdy, a surowość pryncypała rozdrażniła ich; ale w obecnym wypadku działało się wcale inaczej.

Pierwszym wrażeniem tłumu na wieść o szybkiej śmierci Ferdynanda było zdziwienie i przestach. Zdawało im się, że z pogodnego nieba uderzył piorun, że fabryka zachwiała się w posadach, że słońce cofnęło się w biegu. Nikomu, począwszy od naczelnego buchaltera, a skończywszy na ostatniej robotnicy i nocnym stróżu, nie mogło pomieścić się w głowach, że Ferdynand nie żyje. On, taki młody, silny, wesoły, bogaty! On, który nic nie robił, przy żadnej

maszynie nie wystawał! On, syn potężnego ojca, nie żyje! Zginął prędzej aniżeli mizerny robotnik Gosławski, zginął jak zając od strzału, prawie w okamgnieniu!

Ci ludzie prości, ubodzy, zależni, dla których Adler był bóstwem groźnym, wyższym nad wszelkie władze, największym magnatem i najsilniejszym człowiekiem — ci ludzie przestraszyli się. Zdawało im się w pierwszej chwili, że średni szlachcic i skromny sędzia gminny Zapora, który zabił Ferdynanda, popełnił świętokradztwo. Jak on śmiał strzelać do panicza, wobec którego najzuchwalsi robotnicy spuszczały oczy, najmocniejsi tracili siłę? Co się to dzieje?

I zdarzyła się rzecz osobliwa. Ci sami, którzy co dzień przeklinali fabrykanta i jego syna, ci sami złorzeczyli jego zabójcy. Niejeden gorętszy wołał, że takiego łotra trzeba zabić jak psa. Ale — gdyby ów łotr ukazał się nagle między nimi — uciekliby.

Po pierwszym wybuchu nastąpiła chwila rozważenia. Maszyniści i obermajstrzy wytłumaczyli

im, że Zapora nie strzelał do Ferdynanda jak myśliwy do ptaka, ale że Ferdynand sam chciał, ażeby do niego strzelano, i sam strzelał pierwszy. Była to więc walka. Ale po co Ferdynand mieszał się do takiej walki, jeżeli nie mógł zabić przeciwnika? Dlaczego chybił? Za co ci dwaj ludzie, a raczej dwie potęgi nadziemskie — starły się ze sobą?

Ktoś szepnął, że tu chodziło o nich, o robotników, że Zapora zabił panicza, bo on tracił pieniądze zebrane z krzywdy ludzkiej. „Zresztą — dodawali starsi — Bóg skarał Adlera. Przekleństwa zostały wysłuchane”.

Tym sposobem w ciągu kilku godzin utworzyła się legenda. Łzy i krew ludzka doszły do boskiego tronu i cud się stał, tu, w oczach całej okolicy. Pobożni zatrwożyli się, libertyni⁵³ nadrabiali miną, ale w sercu czuli jakiś dreszcz.

— Co to jeszcze będzie? — pytali wszyscy.

— A wiecie wy, że podobno stary zwariował?

⁵³*libertyn* — tu: niedowiarek. [przypis edytorski]

— Jużci chyba tak, kiedy furmana cisnął na szosę, nas wszystkich zawołał nie wiadomo po co, a teraz wyleciał z domu i tuła się po polu.

— On tak zawsze robi, jak jest czego zły...

— Na kogóż on jest zły?... chyba na Pana Boga!

— Nie pyskuj tam!... Nie wzywaj imienia boskiego, bo się jeszcze co stanie!...

— Ciekawość, co teraz zrobi stary?

— A cóż?... może nas już krzywdzić nie będzie?

— W kantorze mówią, że pewnie sprzeda fabrykę i wyjedzie do swoich.

— Przecież on nikogo nie ma.

— Oj! Znajdzie... Szwabry są pełne.

Tak szeptali robotnicy. Obermajstrzy byli powarzeni. Nie pytali o robotę, tylko biegali do kantoru po wiadomości. Jeden radził, ażeby na znak żałoby wstrzymać fabrykę; ale stary buchalter zgromił go.

— Niech wszystko idzie, jak szło — rzekł.

— Pryncypał i tak jest niespełna rozumu: po cóż go drażnić?... Mnie samego największy żal

i strach ogarnął wtedy, gdy fabryka stanęła i wszyscy poszli do pałacu. Kiedy trajkoczą maszyny, człowiekowi na sercu lżej i wydaje mu się, że się nic złego nie stało.

— Prawda!... Prawda!... — potakiwali obecni.

Około szóstej wieczorem w kantorze ukazał się Adler. Wszedł jak widmo, nie wiadomo kiedy. Jego odzież powalana była ziemią, jak gdyby się tarzał. Krótkie lniane włosy jeżyły mu się. Był spocony i zadyszany. Białka oczu zaszły mu krwią; źrenice miał nierówno rozszerzone.

Wszedł do kantoru, począł prędko obiegać wszystkie sale i strzelać z palców. Urzędnicy drżeli na krzesłach.

Młody korespondent czytał jakąś depeszę. Adler przystąpił do niego i spytał zmienionym głosem, choć spokojnie:

— Co to jest?

— Znowu bawełna poszła w górę — odparł korespondent. — Zyskaliśmy dziś sześć tysięcy...

Nie dokończył. Adler wyrwał mu depeszę z ręki, zmiął ją i rzucił mu w twarz.

— Podły jesteś!... — krzyknął na urzędnika. — Podły! Jak śmiesz mi coś podobnego mówić?...

Począł znowu biegać po salonach i mruzczyć:

— Człowiek jest najgorszym bydlęciem!... Psy widząc moją boleść nie śmia łąsić się i uciekają z podtulonymi ogonami... A on mówi o sześciu tysiącach rubli!...

Staął nad wylęknionym urzędnikiem i wytrząsając rękoma mówił chrapliwie:

— Zrób mi to, ty kamienny łbie, ażeby czas cofnął się o jeden tydzień... o jeden dzień, a ja ci oddam wszystkie moje zarobki. Wyjdę z przekłętego kraju bosy i nagi, wyczołgam się na kolanach, będę tłukł kamienie przy drodze, będę marł głód i jeszcze będę szczęśliwy... No, ty!... czy potrafisz czas cofnąć o jeden dzień... O pół dnia!...

Do kantoru wbiegł Böhme zawiadomiony, że Adler wrócił.

— Gotliebie — rzekł pastor — konie czekają, jedź do mnie...

Fabrykant wyprostował się, włożył obie ręce do kieszeni i zabłocony, zziajany, patrząc z góry na niego mówił z ironią:

— Mój ty święty Marcinie, ja nie pojedę do ciebie!... Więcej ci powiem: ja — ani tobie, ani twojej Annecie, ani twemu Józiowi nie zapiszę jednego grosza!... Słyszysz?... Ja wiem, że ty jesteś sługa boży i że twoim językiem przemawia mądrość Pańska... Ale ja ci nie dam złamanego szeląga!... Mój majątek należy do mego syna i wcale nie jest przeznaczony na to, ażeby wspierał cnotę pastorskich dzieci... Idź, ty, poczciwy Böhme, idź!... Idź do swojej chudej żony i do skromnej Annety opowiadać im, żeś trafił na bardzo mądrego wariata, którego nikt nie oszuka ani sztucznymi łzami, ani prawdziwie głupią miną!... Alboż idź ty, Böhme, tam... do trupa... i mrucz nad nim pacierze... Ale ja ci powiadam, że prędzej jego znudzi twoja modlitwa, aniżeli mnie opęta twoja świętobliwa przezorność.

— Co ty mówisz, Gotliebie?... — pytał zdziwiony pastor.

— No, przecież ja mówię wyraźnie!... Spiknęliście się wszyscy, ażeby zabrać mój majątek, ażeby kiedyś twój Józio, technik, rządził się jak szara gęś w tej fabryce... Zabiliście mi syna... Chcecie zabić mnie... Ale nic z tego!... Ja nie należę do rzędu głupców, którzy za miliony rubli kupują zbawienie duszy u księży albo pastarów!...

— Gotliebie!... — przerwał mu pastor — ty mnie posądzasz?... mnie?...

Adler schwycił go za rękę i z wściekłością patrząc w oczy mówił:

— Czy ty pamiętasz, Böhme, ile razy groziłeś mi karą bożą?... Dawniej robili to samo jezuici z głupimi bogaczami i wydrwiali od nich majątki... Ale ja nie dałem się odrwić, trzymałem mój majątek, więc... Bóg mnie skarał!... Nie udawaj zdziwionego, Böhme!... Wszak nie tak dawno rzucałeś na sadzawkę korki i drzewo i pokazywałeś mi jakieś fale, mówiłeś, że powrócą... No — i powróciły twoje fale!... Tyl-

ko mój biedny syn już nie wróci... Pojechał w podróż, na którą potrzeba wiele, bardzo wiele pieniędzy i serca ojcowskiego, ażeby go strzegło od jezuitów i pastorów!... Idź, Böhme!... Mdło mi się robi, kiedy patrzę na twój długi nos, który ci się tak brzydko zaczerwienił... Idź, Böhme, do mego syna, a ponieważ głos twój słyhać podobno aż na tamtym świecie, więc powiedz mu...

Adler nigdy nie był tak wymowny jak w tej chwili, gdy go opuszczał rozum. Chwycił pastora za ramię i wyprowadził go za drzwi. Potem zaczął znowu obchodzić wszystkie biura.

Nareszcie wybiegł z kantoru. Wieczorny mrok zasłonił go, a huk maszyn fabrycznych zagłuszył jego kroki.

Urzednicy byli przerażeni. Nikt już nie wątpił, że Adler jest obłąkany, przynajmniej chwilowo. Ale o śledzeniu go, o rozciągnięciu nad nim opieki nikt nie myślał. Wobec wielkich i szybko rozwijających się nieszczęść wszyscy potracili głowy. Umieali machinalnie odrabiać zwykłe czynności, ale na jakiś samodzielny krok

wobec pryncypała, nawet oszalałego, nikt zdobyć się nie potrafił.

Pastor Böhme rozumiał grozę położenia. Znając charakter Adlera przewidywał jakieś nowe niebezpieczeństwa i choć w części zapobiegłby im, ale nie śmiał wydawać żadnych rozporządzeń. Komu tu rozkazywać? Kto by go słuchał?

Tymczasem wypadki szły naprzód. Około siódmej jeden z robotników spostrzegł, że małe drzwi od składu bawełny są otwarte. Lecz nim zawiadomił o tym magazyniera, nim ludzie przybiegli, drzwi zamknęły się.

W fabryce poczęto szeptać o kradzieży, to znowu o pokutującym duchu Ferdynanda... Dano znać urzędnikom, którzy już wyszli z biura. Paru z nich przybiegło. Tknięci przeczcieniem obejrzeli kantor i przekonali się, że braknie najważniejszych kluczy od fabryki.

Kto je zabrał?... Bez kwestii pryncypał. Ale gdzie on sam jest w tej chwili?... Szwajcar zapewniał, że widział Adlera wchodzącego przez bramę; pomimo jednak czujności nie spostrzegł,

ażebym wychodził. Adler więc znajdował się w obrębie fabryki; ale kto go zechce szukać w gmachu tak wielkim wśród nocy?

Tym razem zdaje się, że stary buchalter odgadł rodzaj niebezpieczeństwa grożącego fabryce. Zwołał obermajstrów, kazał ustawić wartę przy kantorze, wstrzymać maszynę i cofnąć robotników ze wszystkich sal.

Nim jednak wysłuchano tych rozporządzeń, rozległ się głos dzwonu na trwogę. Ze składów bawełny przez wszystkie otwory począł wydobywać się gęsty dym i gdzieś tam płomyki ognia.

Na to hasło robotnicy, już zdemoralizowani dotychczasowymi wypadkami, ulegli panice i tłumem opuścili warsztaty. Przestraszeni byli tak wielki i ucieczka tak szybka, że w żadnej sali nie zgaszono świateł, nie zamknięto drzwi, nie wstrzymano nawet maszyny parowej.

Popłoch jednak był prawdziwym szczęściem uciekających. Za ledwie bowiem robotnicy zebrali się na dziedzińcu w celu ratowania skła-

dów bawełny, a już ogień pokazał się w magazynie tkanin.

— Co to znaczy? To ktoś podpala! — odezwały się głosy wśród tłumu.

— Sam pryncypał podpala fabrykę! — odpowiedział ktoś.

— Gdzie on jest?

— Nie wiadomo, ale jest w obrębie gmachów... Teraz ogień wybuchnął w gręplarni i w przędzalni.

— Widocznie sam Adler podpala!...

— Ale które dy wchodzi do sal?

— Zabrał klucze z kantoru.

— Więc po cóż my mamy ratować fabrykę, jeżeli on ją niszczy?

— Któż nam każe ratować?

— A co będziemy jutro jedli?

Takie wykrzykniki i płacz kobiet rozlegały się w zbitym tłumie kilkuset ludzi bezsilnych wobec klęski. Rzeczywiście ratunek był niepodobny. Zebrani w osłupieniu przypatrywali się pożarowi, który w jednych miejscach potęgował się, w innych dopiero poczynał.

Fabryka przedstawiała szczególny obraz.

Na tle pochmurnej nocy jesiennej widać było kilkanaście olbrzymich gmachów dziwnie iluminowanych. Z każdego otworu składowych wydobywały się czerwone płomyki jak pochodnie. W budynku głównym, mającym kształt podkowy, na lewym skrzydle paliło się czwarte piętro, na prawym — dół. Wszystkie sale środkowego gmachu oświetlały lampy gazowe, przy których było widać szybko poruszające się tkackie warsztaty. Na podwórzu oblanym czerwona, coraz jaśniejszą luną stał ogromny tłum ludzi przestraszonych i narzekających.

Szmerowi głosów ludzkich wtórował huk, turkot i szelest machin.

Z każdą chwilą ogień potężniał; ściany składowych prawie zniknęły pod zasłoną dymu i płomieni. Na lewym skrzydle zapalił się dach, na prawym pożar wdarł się na pierwsze piętro i wybuchał oknami parterowymi. Na dziedzińcu robiło się coraz widniej.

Nagle szmer ludzi umilkł. Wszystkich oczy zwróciły się na korpus główny, dotychczas nie

tknięty. Tam, na drugim piętrze, między warsztatami, przy świetle gazowych lamp ukazał się olbrzymi cień człowieka. Cień chodził tam i na powrót, a gdziekolwiek zatrzymał się dłużej, tam po chwili robiło się widniej. Wyciągnięte na warsztatach tkaniny i osnowy, podłoga napojona tłuszczem, drewniane ramy maszyn: wszystko to chwyciło ogień z niesłychaną łatwością. Po upływie kilku minut drugie piętro głównego korpusu było już podpalone. Cień ludzki ukazał się na trzecim piętrze, przeszedł je z wolna i znowu znikł. Wkrótce zobaczono go na sali najwyższej, na czwartym piętrze.

— To on! to on! — mówiono.

Teraz już cała fabryka stała w ogniu. Ze składów bawełny buchał płomień jak z wulkanu, aż pod obłoki. Ze wszystkich okien prawego skrzydła wydobywał się dym i ogień; na lewym skrzydle dach wyginał się i trzeszczał. Szyby pryskały i z dźwiękiem wylatywały na dziedziniec. W niektórych salach pod cięższymi machinami załamywała się podłoga.

Wśród piekielnego łoskotu, deszczu iskier, obłoków dymu, nad powodzią płomieni, które w korpusie głównym ogarnęły wszystkie piętra, w najwyższej sali wyraźnie widać było cień ludzki. Poruszał się on spokojnie, bez pośpiechu, jak czuwający nad robotnikami dozorca. Niekiedy stawał w którymś z mnogich okien i patrzył — nie wiadomo czy na tłum zebranych, czy na pałacyk.

Wtem z ogromnym łoskotem zapadł się dach lewego skrzydła. W chwilę później runęło drugie piętro prawego skrzydła. Olbrzymie snopy iskier wzbiły się do góry. Było jasno jak w dzień. W składzie bawełny załamały się od razu dwa piętra i na tłum robotników spadł deszcz gorącego popiołu. Zrobiło się duszno. Niektóre maszyny głównego korpusu poczęły dziwnie zgrzytać, nareszcie wywracać się. Skutkiem zmniejszenia się oporu koło rozpędowe maszyny parowej obracało się z szaloną prędkością, wydając przy tym głos podobny do wycia. Ściany pękały, w jednym miejscu spadł

komin, a gruzy jego zatoczyły się aż pod nogi zebranych.

W gmachu głównym dym i ogień chwilkami zasłaniał czwarte piętro, na którym widać było cień człowieka spokojnie chodzącego wzdłuż oświetlonej sali.

Wśród tłumu rozległ się szmer zgrozy, niepodobny do głosów ludzkich. Tłum zaczął poruszać się, krzyczeć, wskazywać na okna...

W stronie fabryki gazu rozległ się stłumiony huk. W sali na czwartym piętrze płomienie lamp błysnęły jaśniej — i zgasły. Ogień ukazał się w dymnikach głównego korpusu. Zatrzeszczał cały gmach i z łoskotem piorunu zapadło się kilka sufitów.

Na dziedzińcu zrobiło się tak gorąco, że tłum cofnął się. Koło rozpedowe maszyny parowej toczyło się już wolniej, wreszcie — stanęło.

...W fabryce, jeszcze przed godziną bogatej i ożywionej, wszechwładnie panował ogień. Słysać było trzeszczenie płonących belek, pę-

kanie murów i ciężkie upadki żelaznych części machin...

Adler, znakomity przemysłowiec, nieugięty wyznawca walki o byt, zebrawszy w ciągu kilkudziesięciu lat miliony, dobrowolnie przywalił się ich gruzami.

Fala krzywdy wróciła.

Warszawa w czerwcu 1880 r.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/powracajaca-fala>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, Nowele wybrane, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Katarzyna Kwiatkowska, Maria Bailey, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: Matches, Patrik Theander@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0753-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
BOLESŁAW PRUS *Powracająca fala* 166

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.